4

WYBÓR PISM

JANA LAMA.

B. 12746. 6013.

WYBÓR PISM
JANA LAMA.

WIELKI ŚWIAT CAPOWIC.

A 3141

Część 1.

KSIĘGOZBIÓR
Polska Biblioteka Szkolna
w Pabjanicach

WARSZAWA.
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej"
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.
1899

Wydano z dubletów
Bibl. Uniw. w Łodzi

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ
Варшава, 13 Января 1899 года.

971

PRZEDMOWA.

Na mocy upoważnienia wdowy po nieboszczyku Janie Lamie, pani Maryi Lamowej, dajemy czytelnikom naszym „Wybór Pism“ tego znakomitego a niedość u nas znanego pisarza.

Jan Lam pod względem siły talentu stoi na czele humorystów polskich. Świetny dowcip łączył on z wielką miłością ludzi, a przytem był znakomitym obserwatorem i pod bystrem okiem jego nie mogła się ukryć żadna śmiesznostka. To też pisma jego należą do najwybitniejszych w naszej literaturze.

Tego to niepospolitego pisarza wybitniejsze utwory postanowiliśmy włączyć do zbioru dodatków bezpłatnych do „Gazety Polskiej“; młodsze pokolenie czytelników naszych z pożytkiem je pozna, starsze— z przyjemnością przypomni sobie.

Dorobek literacki Lama, oprócz licznych a skrzących dowcipem felietonów i artykułów dziennikarskich, stanowią utwory następujące: „Wielki Świat Capowic“ (1869), (w pierwszem wydaniu powieść ta miała tytuł „Panna Emilia“); „Koroniarz w Galicyi“ (1870); „Głowy do pozłoty“ (1873); „Idealiści“ (1876); „Dziwne Karyery“ (1880).

Prócz tego wydał zbiór drobniejszych obrazków pod tytułem „Rozmaitości i powiastki“. Niestety, śmierć przedwcześnie przerwała pasmo prac jego w 48 roku życia.

Jan Lam urodził się w Stanisławowie w Galicyi w r. 1855. Nauki początkowe pobierał w gimnazyum w Buczaczu, potem studyował prawo na uniwersytecie we Lwowie, gdzie też stale mieszkał i pracował. Zmarł w r. 1886.

ROZDZIAŁ I,

w którym szanowna publiczność może zrobić znajomość z najwyższemi sferami urzędowemi miasta Capowic i dowiedzieć się ciekawych szczegółów co do topografii i statystyki powiatu capowickiego.

Są niedowiarki, którym istnienie miasta Capowic wyda się może problematycznem, bo niema tak prostej i jasnej rzeczy pod słońcem, by złość i przewrotność ludzka nie podała jej w wątpliwość. Wszak niedawno jeden z najjadowitszych korespondentów jednego z najprzewrotniejszych organów opinii publicznej ośmielił się zakwestyonować istnienie Prześwietnej Rady powiatowej buczackiej, z powodu, że nawet w najbliższej okolicy starożytnego grodu buczac-

kiego nie słychać było dłuższy czas o żadnej czynności tego ważnego organu autonomii krajowej.

I byłby świat uwierzył złośliwie rozszerzonej wieści, gdyby nagle nie była gruchnęła wiadomość, że JW. marszałek powiatowy, jako kawaler orderu św. Grzegorza, i jako kierownik samorządu powiatowego, przy pomocy W-go wice-marszałka, ułożył adres, w którym pp. członkowie Rady, przejęci ważnością stanowiska swego i potrzebą uczynienia zadość położonemu w nich zaufaniu współobywateli, objawić mają Ojcu św. głębokie ubolewanie swoje z powodu różnych rzeczy, mających nader pośrednią styczność ze sprawami okolicy buczackiej i wszystkich okolic polskich wogóle. Czy wiadomość ta potwierdza się, czy nie, zawsze świat nie będzie mógł nadal ignorować istnienia Rady powiatowej buczackiej.

Z Capowicami trudniejsza pod tym względem sprawa, albowiem od roku 1867 miasto to upośledzone jest i pozbawione należącego mu się znaczenia, z powodu zwinięcia istniejącego tamże urzędu powiatowego, i zepchnięcie do rzędu nic nie znaczącego partykularza, położonego w obrębie starostwa Kozłowickiego, w jednej z ośmiu wice-gubernii galicyjskich.

Nietylko tedy właściciela Capowic, W-go Imci pana Kalasantego Capowickiego, ominęła sposobność przewodniczenia własnej, osobnej, capowickiej Radzie powiatowej, ale nawet propinacya od tego czasu z 3,700 złr., spadła na 3,100 złr. i ziściły się niezmierne ekonomiczne, socyalne i polityczne klęski, które ludność Capowic i przyległych włości przewidywała w petycyach do sejmu, wnoszonych przeciw przeniesieniu urzędu powiatowego do Kozłowic.

Handel, przemysł, rękodzieła i t. d. upadły, bo konsumcya cukru, kawy, rumu, mięsa i innych ważnych artykułów zmniejszyła się o kilkaset złr. rocznie a szewcy miejscowi, o łkąd utracili sposobność zarobku, jaką im nastręczali panowie c. k. dyurniści powiatowi, są prawie zupełnie bez zatrudnienia. Jednem słowem, Capowice są dziś jawnym i do nieba o pomstę wołającym dowodem, jak dalece szlacheckie rządy hr. Gołuchowskiego były dla kraju zgubnemi, i jak dalece delegacya nasza w Wiedniu oddała cały kraj ze związanemi rękoma na pastwę centralizacyi, która—dla Capowic—siedzibę swoją założyła w Kozłowicach, z narażeniem na szwank wszelkiej godności narodowej i zasad, od których ani na krok odstępować nie powinniśmy.

Ostatnie te słowa nie są moją własnością literacką: wyjąłem je z korespondencyi, którą p. Kalasanty Capowicki umieścił w pewnym dzienniku, stojącym na straży „godności i ducha narodowego“, a cieszącym się względami JW. właściciela Capowic, odkąd tenże przyłączył się do opozycyi.

To nawrócenie się pana na Capowicach, Capówce i Capowej Woli do zdrowych zasad narodowych, nastąpiło tego samego dnia, w którym Rada powiatowa kozłowicka 14 głosami przeciw 12, wybierając marszałkiem pana Kuderkiewicza, dzierżawcę Głęboczysk i nawet nie-szlachcica, przekonała p. Kalasantego namacalnie o zgubności tak zwanej polityki utylitarnej.

Od tego więc czasu JW. Capowicki wraz z sąsiadem swoim, W-nym Tadeuszem Bzikowskim z Małostawic, stoją na czele malkontentów w powiecie kozłowickim, i jeżeli prenumerują *Gazetę Narodową*, to tylko dlatego, że, jak powiadają, dobrze jest wiedzieć, co też mówi się i robi w obozie przeciwnym.

Ale nie wyprzedzajmy biegu wypadków. W czasie, w którym się działy rzeczy, stanowiące przedmiot niniejszego nader wiarogodnego opowiadania,

Capowice używały jeszcze w całej pełni dobrodziejstw własnej swej autonomii, a JW. Capowicki nietylko nie pisywał do dzienników opozycyjnych przeciw polityce utylitarnej, ale nawet jako prezes stał na czele obwodowego komitetu, złożonego w celu zbierania składek na sformowanie lekkokonnego pułku ochotników narodowych, z niemiecką komendą, który to pułk, pod dowództwem JEks. pana hr. Starzeńskiego, byłby się niezawodnie mocno naprzykrzył Prusakom, gdyby w zuchwałości swej posunęli się byli aż do Sędziszowa, albo do Ropczyckiej Góry. Nadmienię przy tej sposobności, że JW. Capowicki w owych pamiętnych czasach przyczynił się 50 ma guldenami, trzema funtami szarpi i kilkoma bandażami do ocalenia monarchii austryackiej, za co później nie on, ale starosta obwodowy, p. Mantschberger, otrzymał krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa, bo prawdziwa zasługa nigdy nie bywa wynagrodzoną, i jedyną rzeczą, która zostaje w dzisiejszych czasach każdemu, własną i narodową godność należycie oceniającemu synowi ojczyzny, jest wierne i konsekwentne stanie przy sztandarze opozycyjnym, jak słusznie powiada JW. Capowicki w innej znowu korespondencyi swojej do dziennika opozycyjnego.

Miały tedy Capowice w r. 1866 własną swoją autonomię i własny swój urząd powiatowy, i nie potrzebowały się udawać po wymiar sprawiedliwości politycznej do Kozłowic, co jest najlepszym dowodem, że Capowice istnieją rzeczywiście i że należy im się kartka w historyi, tak jak należy się Sniatyniowi za to, iż posiada owych znanych dwóch koryfeuszów, albo Brodom za to, że przestały płacić pensyę nauczycielom szkół miejskich i od tego rozpoczęły oszczędność w swoim budżecie, albo stolicy galicyjskiej za to, że, wolna od wszelkich przesądów szczepowych i narodowościowych, pielęgnuje tak starannie teatr niemiecki.

Wątpliwość co do istnienia Capowic pochodzi w części ztąd, że podróżny, opuściwszy gościniec rządowy, prowadzący ze Lwowa do granicy kraju, i porobiwszy przez kilka godzin bardzo bolesne doświadczenie co do niedoskonałej budowy i jeszcze niedoskonalszej reparacyi gościńca krajowego, prowadzącego w te strony, gdy na przestrzeni 3 mil zapłaci 5 razy myto przy pięciu różnych rogatkach i dwa razy mostowe od mostów, których egzystencya i potrzeba nawet w całej podróży wydaje mu się wątpliwą, gdy

następnie minąwszy karczmę, należącą do Głęboczysk, i złamawszy dyszel tuż koło piątej rogatki, gdzie zapłacił po 12 centów od konia za dobrodziejstwo używania gościńca krajowego, a złamawszy go z powodu nieprzewidzialnej wielkiej dziury w samym środku gościńca, nieoznaczonej wcale na mapie Kumersberga—gdy następnie, powiadam, podróżny ten dojedzie do wielkiego krzyża, samotnie sterczącego w polu i obok tego krzyża ujrzy i odczyta na białej tablicy napis: *Kreis et caet., Bezirk et caet.—Stadt Zappowitz*, wraz przekładem polskim: — ogląda się daremnie na wszystkie strony świata za miastem, którego bliskość zapowiada owa biało pokostowana etykieta, świadcząca oraz o piśmienności i cywilizowanej dwujęzyczności Capowiczan. Zmrok zapadł już bowiem, choć szanowny P. T. podróżny jeszcze przed południem opuścił główny gościniec lwowski, na prawo i na lewo, z przodu i z tyłu, najbystrzejszy wzrok nie spostrzeże niczego, oprócz szarej płaszczyzny, gubiącej się w cieniu i szarego nieba, na którem samotna jakaś gwiazda migoce i mruga, jakgdyby ją senność zbierała na widok tej wszechszarej przestrzeni, przypominającej puste grządki ogrodu botanicznego we Lwowie, gdzie na miniaturowych białych tablicach można także wy-

czytać rozmaite napisy, ale gdzie daremnem byłoby szukać należących do nich roślin.

Wtem, nagle, woźnica skręca w bok, bryczka stacza się z niesłychaną szybkością z jakiejś nader przykrej pochyłości, najeżonej niemniej przykremi przeszkodami w kształcie różnych kamieni, prętów, wybojów i t. p., błoto bryzga szanownemu P. T. podróżnemu wyżej uszu, woźnica woła naprzemian to: het, hejt! to znowu: wiść! wiść! bryczka skacze, nurza się, przechyla, szybkość jej pędu wzrasta z każdą chwilą, aż nakoniec—trafi łamie się koło, szanowny P. T. podróżny znajduje mięciutkie posłanie w błocie, na trzy stopy głębokiem, jego tłomok, parasol, koc i słoma z bryczki, jako też worek z obrokiem, nakrywają go i osłaniają przed dalszemi przeciwnościami, woźnica woła: A bodajś! a trzysta ..... i tam dalej — i oto znajdujemy się na samym środku rynku w Capowicach, i tem samem wskakujemy *in medias res* naszego opowiadania.

Od czasu, jak kosztem konkurencyi gminnej dworów przyległych, i dzięki staraniom niezapomnianego naczelnika powiatowego, p. Maulschellhofera, obdarzonego za to inseratem w gazetach, wyrażającym

mu dozgonną wdzięczność powiatu capowickiego, powiodło się za nic nie znaczącą sumę 180,000 złr. w. a. wykończyć projektowane oddawna połączenie Capowic z tak zwaną „cesarską drogą“ za pomocą krajowego gościńca i pięciu czerwono-niebieskich rogatek, niepamiętną jest rzeczą, by ktokolwiek, nieobeznany bliżej z topografią Capowic, odbył swój wjazd do tego miasta inaczej, aniżeli w sposób powyżej opisany— osobliwie, jeżeli nie przenocował w Wygodzie Głęboczyńskiej i nie czekał białego dnia do odbycia tego tryumfalnego wjazdu. Szanowna publiczność, której przychylny los pozwolił czytać powieść niniejszą, odniesie tedy znaczną korzyść z tej lektury i będzie to uważała za zbawienną ostrożność wysiąść z bryczki koło tablicy „*Stadt Zappowitz*“ i odbyć resztę drogi pieszo.

Ale, bądź co bądź, jesteśmy już w Capowicach, i mamy po lewej stronie „ratusz“, a po prawej koszary c. k. żandarmeryi, opodal zaś gmach urzędu powiatowego, czyli, używając krótszego wyrażenia lokalnego, becyrk. Ratusz jest oczywiście oraz domem zajezdnym, i różni się od Wygody Głęboczyskiej co do budowy swojej i całej zewnętrznej okazałości tylko

tem, że podczas gdy lewe skrzydło, przybudowane do głównego korpusu, zawiera tylko takie same „kuczki“, jak na Wygodzie, natomiast prawe skrzydło, oprócz jakiegoś budyneczku, mogącego służyć za chlewek, gdyby Mojżesz nie był zabronił starozakonnym hodowania nierogacizny, zawiera jeszcze i bazar capowicki, mieszczący w sobie dwa najokazalsze sklepy, jako to: korzenny handel pani Heni Silber i bławatny handel pana Abrahama Gold, vulgo Abru ka — o czem świadczą zresztą bardzo wymownie dwa szyldy, jeden niebieski z białym, a drugi z czerwonym napisem, a oba z ortografią, nie ustępującą w niczem tej, jakiej używają pp. kupcy lwowscy ku zbudowaniu i rozweseleniu przechodniów. Cały „ratusz“ jest własnością JW. Kalasantego Capowickiego, pana na Capowicach, Capówce i Capowej Woli; dzierżawcą zaś tego uwagi godnego gmachu jest Dudio, jeneralny propinator, a oraz właściciel handlu win, dostarczającego węgierskich i austryackich nektarów całej okolicznej szlachcie i całemu Prześwietnemu c. k. becyrkowi, z wyjątkiem tych podrzędnych reprezentantów władzy, których miesięczna płaca, po odtrąceniu czynszu za pomieszkanie i należytość Herszkowi w jatkach, nie wystarcza na kupienie butelki na-

wet takiego wina, jakie sam Dudio uważa już za „cokolwiek podlejsze“. Jaki smak ma to wino, o tem nie wie nikt, kto według wschodniego obrządku nie komunikował się pod obiema postaciami, albo przynajmniej nie bywał na prażnikach, gdzie zwykle serdeczność przyjęcia i obfitość darów bożych przeważa nad ich jakością. Jeżeliby jednak który z szanownych czytelników dla wydoskonalenia się w znawstwie winem, zapragnął wiedzieć, co Dudio nazywa „cokolwiek podlejszem“ winem, niechaj do kwaterki tęgiego burakowego barszczu doda parę naparstków żytniówki, nieco soku z kwaśnych ogórków, kilkanaście miałko utłuczonych ziarnek pieprzu, i łut papryki—a podniebienie jego dozna tak błogich i rozkosznych wrażeń, jak moje na imieninach w Capowej Woli u ks. proboszcza Łuckiewicza, którego liwerantem od lat kilkunastu jest Dudio.

I są jeszcze ludzie, którzy twierdzą, że sprowadzamy z zagranicy wielką część artykułów, potrzebnych nam do codziennego życia!

Okazalszym nad wszelką okazałość Capowicką jest becyrk — dziś niestety ogołocony już ze swojej

świetności i nie mieszczący więcej tych biur, których obecności Capowice zawdzięczały swój ruch handlowy i kwitnący rozwój ekonomiczny. Budynek ten piętrowy, murowany, kryty gontami, na dole w sześciu obszernych pokojach mieścił owego czasu kancelarye urzędu i sądu powiatowego, na górze zaś, oprócz biura prezydyalnego, znajdowało się pomieszkanie pana naczelnika powiatu, czyli — dlaczegoż mamy używać jakichś obcych wyrazów, skoro mamy swoje? — czyli więc pana forsztehera, wraz *mit der werthen Familie.*

Die werthe Familie stanowił najprzód sam pan forszteher, Waclaw Precliczek, piszący się naówczas *Wenzel Pretzlitscheck*, a teraz, odkąd jest na pensyi i osiadłszy we Lwowie, należy do besedy czeskiej, używający z upodobaniem rodzinnej swojej pisowni: Vaclaw Precliček. Pan forszteher, jako głowa powiatu, był oczywiście najpierwszą i najważniejszą osobą w Capowicach, i powinienbym był wspomnieć o nim pierwej niż o Heni, o Abrumku, o Herszku, o Dudiu, gdyby nie nawyknienie miejscowe, które wbrew wszelkiemu porządkowi nie szykowało znakomitości miejscowych *nach den Diaetenklassen*, ale kazało zawsze uważać Dudia za pierwszą osobę w powiecie, poczem

szła Henia, Herszko, Abrumko, a dopiero po nich pan forszteher. W istocie, mniemanie to było zapewne mylnem i ubliżającem powadze urzędowej pana forszteherа i becyrku, ale niemniej jednakże jest rzeczą pewną, że kto miał bardzo trudny i bardzo ważny interes w becyrku, ten udawał się zwykle do Dudia, jeżeli mógł komunikować się bezpośrednio z tak *morej-morejną* osobistością, a jeżeli nie, to wpływał na niego za pośrednictwem jego bratowej, pani Heni Silber, albo jego szwagra, p. Abrahama Gold, albo jego zięcia, pana Hersza Fiszer, i dopiero przez te wszystkie instancye trafiał do biura prezydyalnego i—nigdy źle na tem nie wychodził. Nie można wątpić, że brak prawdziwej lojalności, który nawet w Capowicał nurtował potajemnie w sercach kilku indywiduów, bardzo pod politycznym względem podejrzanych, i zwykła zresztą złośliwość ludzka—rodziły mniemania tego rodzaju; ale były fakta, które przez fatalny jakiś zbieg okoliczności stwierdzały niezwykły wpływ zacnej rodziny Silberów, Goldów i Fiszerów na bieg administracyi politycznej i sądownictwa w powiecie capowickim. Niektórzy starozakonni, zarażeni nowoczesnemi, rewolucyjnemi pojęciami o wolnej konkurencyi

nie mogli pojąć, dlaczego, oprócz Herszka, nikomu niewolno było trzymać jatek, mimo ustawy o wolności zarobkowania, i mimo złego towaru a wysokich cen, w których p. Fiszer miał szczególne upodobanie. Oczywiście, iż gdy na stół p. forsztehera dostawało się zawsze tylko bardzo wyborne mięso, i to funt po 8 centów, więc wszystkie te złośliwe szepty nie miały najmniejszej podstawy... ale jak w kwestyi jatek, tak i w innych drobiazgowych materyach tego rodzaju malkontenci nie przestawali szerzyć głośnych utyskiwań, które w końcu sprowadziły kilka razy do Capowic rozmaite komisye, to z namiestnictwa, to z sądu obwodowego. Lecz komisye te, zaprzysiągłszy po kilkadziesiąt świadków, i zasuspendowawszy jednego lub drugiego kancelistę powiatowego, zmuszone były uznać, że jakkolwiek skarb publiczny wydał każdym razem po kilkaset złr. na dyety i koszta podróży, to wydatek ten jest niczem wobec świeżo potwierdzonego i nader pocieszającego przekonania, iż postępowanie pana forsztehera jest ściśle prawne, sumienne i nienaganne, i że wszystkie skargi przypisywać należy *den fortwährenden Umtrieben der rastlosen polnischen Umsturzpartei.*

Ta *Umsturzpartei* była zmorą, która trapiła ciągle pana forsztehera, odbierała mu sen w nocy, apetyt we dnie, zatruwała mu goryczą każdy zajdel piwa, każdą fajkę schwarzdrei-königu. — Spisywał o niej obszerne memoranda prezydyalne, więził wszystko co tylko nie było całkiem niepodejrzanem, i całe sągi sześcienne protokułów, rysopisów, listów gończych, okólników itp. były owocem tej niezmordowanej pracy. Sam Pan Kalasanty Capowicki, jakkolwiek prezes komitetu w celu formowania Krakusów, nie uszedł kilku nader ścisłym i surowym „amtshandlungom"; sam ksiądz Zając, proboszcz i dziekan capowicki, musiał stawać do protokułu, jakkolwiek wiadomem było powszechnie, że przed drzwiami plebanii skonał raz w roku 1864 z głodu i nędzy powstaniec, przed którym zamknięto na klucz drzwi tego zacnego kapłana.

Niestety! Pan Precliczek, wiecznie tropiący emisaryuszów, ludzi, niezaopatrzonych w paszporty i w karty pobytu, transporty broni i amunicyi, sam, na pierwszem piętrze gmachu becyrkowego, w najbliższem swojem sąsiedztwie, pod urzędowym

bokiem swoim, miał mały wulkan rewolucyjny, którego wybuchy dostarczą nam wątku do dalszego opowiadania naszego.

Pan Precliczek miał bowiem żonę i córkę...

ROZDZIAŁ II,

w którym autor maluje jaskrawemi barwami utylitarną politykę pana forsztehera i opozycyjne stanowisko (der werthen Familie).

Pani Precliczkowa, czyli, jak ją powszechnie nazywano, pani forszteherowa, z domu Hanserlówna, córka c. k. komisarza cyrkularnego z Rzeszowa, Bochni, czy z Jasła, od lat dwudziestu kilku była wierną i przykładną towarzyszką p. prefekta departamentu capowickiego w pozaurzędowym jego żywocie: najprzód, gdy był konceptspraktykantem w rodzinnem jej mieście, później, gdy przechodził dalsze stopnie hierarchii urzędowej przy namiestnictwie we Lwowie, a nakoniec, gdy zaufanie rządu powołało go do piastowania ważnej posady, na której go zastajemy w r.

1866. We wszystkich tych miejscach pobytu, najżądniejsza potwarzy złośliwość ludzka nie zdołała podnieść przeciw niej innych zarzutów, jak tylko te, których ofiarą padają wszystkie mniej więcej żony nasze. I tak n. p. było rzeczą autentycznie stwierdzoną, że pani forszteherowa posiadała o jedną suknię jedwabną i o dwa kapelusze mniej niż gospodyni ks. proboszcza, Zająca, w Capowicach, co rzucało oczywiście jaknajmniej korzystne światło na jej dobry smak, na jej elegancyę i na jej poczucie tego wszystkiego, co była winną sobie samej i stanowisku swojego małżonka. Dalej, jak utrzymywano, posiadała pani kontrolerowa Langbauerowa niezbite dowody, że futro pani naczelnikowej miało tylko kołnierz tumakowy, pod spodem zaś były proste lisy, czy nawet farbowane króliki. Okoliczność ta zmniejszała w bardzo znacznym stopniu uszanowanie całego wielkiego świata capowickiego dla pani Precliczkowej. — Co mi to za naczelnikowa—zwykła była mawiać pani kasyerowa—kiedy prosta kanceliścina potrafi się ubrać lepiej od niej, gdy idzie w niedzielę na mszę do kościoła! Księża gospodyni wygląda przy niej, jak jaka hrabina. Gdyby nie mąż, każdy miałby ją za nic, i t. d.

Kto tylko ma najmniejsze wyobrażenie o przyzwoitości, o wymaganiach światowych, ten odrazu potrafi ocenić słuszność tych zarzutów. Wogóle powtarzano sobie pocichu w całych Capowicach, że pani forszteherowa nie umie prowadzić domu jak należy. P. pocztmistrzowa zaręczała raz ks. wikaremu, że u forszteherów przez trzy dni, dzień po dniu, był na obiad rosół, zasypany hreczanemi krupami, i sztuka mięsa z chrzanem octowym. Szczegół ten dostarczył przedmiotu do żywej i nader wyczerpującej dyskusyi przy kawie u państwa kontrolerstwa, gdzie ks. wikary bywał częstszym, niż codziennym, gościem, i p. asystentowa zaręczała słowem honoru, że w życiu swojem nie słyszała nic podobnego. Poczem, wiedziona zapewne chrześciańskiem uczuciem, które nam każe ostrzegać bliźniego, gdy błądzi przez niewiadomość, p. asystentowa, wracając do domu, wstąpiła do pani forszteherowej i opowiadała jej słowo w słowo wszystko, co p. pocztmistrzowa mówiła ks. wikaremu, a ks. wikary pani kontrolerowej, i jak po tem wszystkiem wyraziła się następnie pani kasyerowa i p. Kuszkiewiczowa (żona wielkorządcy Capowic, Capówki i Capowej Woli), jakoteż pan kasyer, p. kontroler, p. pocztmistrz i p. aptekarz, a nadewszystko dr. Rzeźnicki'

młody medyk z bardzo ostrym językiem, który niedawno przybył ze Lwowa. Nazajutrz gdy p. Precliczek zażądał, jak zwykle, chrzanu do swojej sztuki mięsa, p. forszteherowa opowiedziała mu ze łzami w oczach, że musi się obejść bez tej przyprawy, „bo i tak już to a to rozpowiadają w mieście.“ P. forszteher obszedł się tego dnia bez chrzanu, ale sądny dzień nastał za to w Capowicach. Pan kasyer nie dostał urlopu, którego potrzebował do poratowania zdrowia; panu kontrolerowi odmówiono zapomogi, którą już miał prawie jakby w kieszeni; zamiast dr. Rzeźnickiego, doktor Herz otrzymał z urzędu polecenie spisywania włościan, zmarłych na tyfus i dysenteryę, i zapisywanie lekarstw tym, którzy dopiero umierać mieli; ks. wikary popadł w niełaskę u księżej gospodyni (bo p. forszteher żył bardzo dobrze z ks. proboszczem), i odtąd nie dostawał na wieczerzę nigdy nic innego jak tylko kaszę z mlekiem—wskutek czego stał się jeszcze częstszym, niż częstym, codziennym gościem u pp. kontrolerstwa. Pana Kuszkiewicza, rządcę klucza capowickiego, obili włościanie, których chciał grabić za to, że paśli konie w nasiennej koniczynie JW. Capowickiego, a gdy się udał do becyrku ze skargą, zapłacił najprzód karę stemplową, a następnie zawikłany jeszcze

w proces o gwałt publiczny z tego powodu, jakgdyby nie był obitym, ale bijącym. Rzecz cała oparła się aż o kronikę *Gazety Narodowej*, może i byłoby przyszło nawet do interpretacyi w sejmie, ale na nieszczęście sejm odroczono. Wszystkich tych przykrych następstw nie byłby doznał pan Kuszkiewicz, gdyby p. Kuszkiewiczowa nie była brała udziału w owej nieszczęsnej rozmowie przy kawie u pani kontrolerowej, i gdyby pani forszteherowa nie była dawała panu forszteherowi przez trzy dni rosołu, zasypanego hreczanemi krupami, sztuki mięsa z chrzanem na occie. Gdyby mu była dała przynajmniej raz, dla odmiany, chrzan ze śmietaną, albo ćwikłę, albo sos pomidorowy—ależ codzień chrzan z octem!!!

Wniknęliśmy z pomocą powyższych szczegółów w najważniejsze sprawy, poruszające opinię publiczną w Capowicach, i byliśmy w możności poznać odrazu, że horyzont małżeński państwa Precliczków nie był bez chmur, i że według zdania jednych, p. Precliczek był godną pożałowania ofiarą hreczanych krup i chrzanu, a według innych p. Precliczkowa była najnieszczęśliwszą forszteherową pod c. k. galicyjsko-lodomeryjskiem słońcem, forszteherową z tu-

makowym kołnierzem i z farbowanemi królikami, forszteherową o trzech tylko jedwabnych sukniach i trzech kapeluszach!

Ale są rzeczy, które zwracają mniej może uwagi w tak wielkim i znakomitym świecie jak świat capowicki, a któremi interesować się zwykli tylko dziennikarze, literaci, emigranci i inni ludzie bez stałego i bliżej określonego sposobu zarobkowania. Są kwestye narodowościowe, polityczne i literackie, o które toczy się nieraz bój zawzięty w gazetach, podczas gdy na prowincyi obojętnie, z politowaniem prawie, patrzą na zapaśników.

Na prowincyi każdy mówi takim językiem, jaki umie; każdy uważa politykę za rzecz dobrą tylko dla próżniaków, i każdy czyta to, co mu się podoba, to jest, nie czyta właściwie nic, bo, jak słusznie twierdzi pan kontroler Laugbauer, od jakiegoś czasu nawet w kalendarzach piszą same głupstwa.

Otóż właśnie tego rodzaju rzeczy w rodzinie państwa Precliczków były nieraz większym powodem nieukontentowania, niż rosół z krupami i chrzan z octem, większym, niż domyślać się mogła zrazu p. pocztmistrzowa i ks. wikary.

P. Precliczek, póki używał jeszcze dawniejszej swojej pisowni, jako *Wencel Pretzlitscheck*, twierdził o sobie, że jest *ein biederer Deutscher*. Co do rzeczownika, zgadzał się z nim cały powiat, co do przymiotnika zaś, niektórzy byli innego zdania. Zresztą, p. Precliczek nie potrzebował bynajmniej legitymować się, do jakiej narodowości należy, bo wiadomo było powszechnie, że mówi tylko po niemiecku i trochę po czesku — tyle mianowicie, ile potrzeba zwykłemu śmiertelnikowi, ażeby nigdy nie mógł się nauczyć po polsku. Kwestya, do jakiej narodowości należał p. Precliczek, była tedy zupełnie jasną, a jeżeli zostawała jeszcze jaka wątpliwość w tej mierze, usuwała ją p. forszteherowa, gdy w chwilach złego humoru apostrofowała swego małżonka: „Ty, Szwabie!“

Anielska ta kobieta miewała bowiem dni i godziny, w których opuszczała ją zwykła cierpliwość, i wówczas nietylko okazywała karygodne lekceważenie zwierzchności małżeńskiej i urzędowej, reprezentowanej w osobie pana becyrksforsztehera, ale nawet dopuszczała się przekroczenia, przewidzianego w c. k. kodeksie karnym jako *Aufreizung zum Hass* itd.

Jestem pewny, że niejedna dobra szlachcianka,

herbu Poraj, Sas, Rawicz, Gozdawa, lub innego, zapyta z ządziwieniem, jakim sposobem p. Precliczkowa, z domu Hanserle, mogła męża swojego nazywać „Szwabem“, i czy może Niesiecki, albo Paprocki wspomina o jakich starych Polusach, którzyby się nazywali „Hanserle?“ Hanserle, Hanserle!

Niestety — nie! Żaden Hanserle nie był z Bolesławem Chrobrym przy wzięciu Kijowa, żaden nie zginął pod Warną, żaden nie zrywał sejmów, żaden nie służył za podstarościego u Radziwiłłów, Lubomirskich lub Rzewuskich, żaden nie wykonywał przysięgi homagialnej Najdostojniejszemu domowi Lotaryńskiemu przy zajęciu Galicyi. Znany był tylko jeden Hanserle, w Rzeszowskiem, czy w Tarnowskiem z wielkiej gorliwości, którą rozwijał w r. 1846 i za którą otrzymał później order i 200 złr. *od personam.*

Jest to tedy fakt, co do przyczyn swych niewyjaśniony, ale zawsze fakt, że pani Precliczkowa, z domu Hanserle, nazywała męża swego „Szwabem“, że umiała i rozmawiała zawsze tylko po polsku, i po polsku wychowała swoją córkę.

Pan Precliczek łamał sobie nier głowę nad

Wyższa Szkoła Nauczycielska Biblioteka Ch. w Kielcach

przyczynami tego zagadkowego faktu, równie jak ty teraz czynisz, szanowny czytelniku. A jeżeliś łaskaw i zastanawiasz się nad tą okolicznością, to chciej też przy tej sposobności rozważyć, dlaczego naodwrót nieraz damy, których przodkowie posłowali od Krzywoustego do cesarza Henryka, rzucali z dumą pierścienie swoje do skarbca cesarskiego, i otrzymywali zato tak historyczne odpowiedzi, jak np. *Hab' Dank*!—dlaczego, mówię, takie damy nie znają różnicy między Szwabem a nie-Szwabem, i córki swoje wychowują... jużci nie po polsku?

Ale na teraz dość nam będzie wiedzieć, że pan Precliczek nie mógł pojąć, zkąd się jego żonie wzięła ta polszczyzna? Zkąd się to wzięło, że jego własna krew, jego córka, *mein Milchen*, nie mogła, czy nie chciała nigdy nauczyć się po niemiecku, i lekceważenie swoje dla panującej narodowości posuwała tak daleko, że język Metternicha i Kriega, język verordnungów i protokułów nazywała... ach, włosy mi stają na głowie, jak go nazywała! Sam byłem świadkiem, gdy c. k. becyrksforszteher w Capowicach na zapytanie swoje, czy już nakryto do stołu, otrzymał odpowiedź: Et, niech tatko nie mówi do mnie tym baranim językiem!

Przynajmniej ja nie byłem urzędową figurą i Milcia nie mogła przedemną skompromitować pana Pretzlitschka. Ale raz wydarzył się w Capowicach wypadek okropny, straszniejszy od klęski pod Königgrätz, od koronacyi w Peszcie, od usunięcia p. Wolfahrta z Złoczowa, jednem słowem — straszny. Pan Precliczek w rok potem jeszcze bez oglądania się na wszystkie strony i bez dreszczu w kościach nie mógł opowiadać o tem nawet najściślejszemu swemu przyjacielowi. Rzecz miała się tak:

Jego Ekscelencya, rzeczywisty tajny radca i szambelan J. c. k. Ap. Mości, jenerał-feldmarszałek-porucznik hr. Mensdorff Pouilly, namiestnik i t. d., przejeżdżając do Kołomyi, Zaleszczyk czy Tarnopola, raczył zatrzymać się przez całą godzinę w Capowicach, gdzie zebrali się byli różni reprezentanci różnych większych, mniejszych i żadnych posiadłości, dla złożenia winnego hołdu J. Ekscelencyi. Pan Jakób Bykowski, herbu Koźlerogi, w najpyszniejszym swoim kontuszu i litym pasie, szlachcic mierzący 6 stóp wysokości i 28 stóp peryferyi, okazałą postawą swoją zwrócił na siebie uwagę Jego Ekscelencyi, który raczył zapytać go w sposób najgrzecz-

niejszy, co tam słychać w okolicy? Pan Jakób, choć nietęgi Niemiec, zdobył się przecież na tyle, że, obcierając pot z czoła wysapał z siebie:—*Schlecht, kaiserliche Exzellenz — Kartoffel sich nicht geboren, Heu pfutsch, alles* Mości dobrodzieju *pfutsch, grosse Steuer* Mości Dobrodzieju!

Poczem Jego Ekscelencya raczył zaśmiać się i kiwnąć łaskawie ręką zgromadzonym reprezentantom powiatu, a sam udał się na pierwsze piętro gmachu becyrkowego dla zwiedzenia kancelaryi pana naczelnika. Jego Ekscelencya raczył iść naprzód, za nim adjutant, a za tym dopiero p. Precliczek, który widział wprawdzie, że Jego Ekscelencya, wszedłszy na kurytarz, otwiera niewłaściwe drzwi, ale w służbistej pokorze nieśmiał robić żadnych uwag tak wysokiemu przełożonemu. Zdarzyło się tedy, iż c. k. tajny radca i szambelan zajrzał najprzód do kuchni i przekonał się naocznie, że p. Precliczkowa przyrządzała tego dnia na obiad barszcz z uszkami, pierogi z serem i inne przysmaczki. Adjutant nadmienił, że to nie te drzwi, Jego Ekscelencya otworzył przeto drugie—ale i te nie prowadziły do kancelaryi, lecz do

bawialnego pokoju, gdzie fatalnym i nigdy nieodżałowanym zbiegiem okoliczności siedziała na kanapie panna Ewelina Precliczkówna, zajęta czytaniem — *Dziennika Literackiego*! Na widok mężczyzny ze złotym kołnierzem i z czerwonemi lampasami na pantalionach, powstała i zarumieniła się, a choć miała na sobie tylko bardzo skromną perkalikową sukienkę, wyglądała dalibóg piękniej niż pan Jakób Bykowski w granatowym kontuszu z karmazynowemi wylotami i w sutym, antenackim pasie, z rycerskim węzłem na sarmackim brzuchu. Jego Ekscelencya zatrzymał się chwilkę w drzwiach i raczył być prawie tak grzecznym, jakgdyby był jeszcze ambasadorem u dworu petersburskiego, a nie komendantem stanu oblężenia w Galicyi. Uśmiechnął się tedy i rzekł: *Das ist warscheinlich Ihre Tochter, Herr Pretzlitscheck*! Pan naczelnik ukłonił się do samej ziemi. — *Hübsch mein Fräulein, Sie beschäftigen sich wohl viel mit Lektüre?* — Do usług pana dobrodzieja, odpowiedziała Milcia, z przynależnym dygiem. Jego Ekscelencya zamknął drzwi i, zwracając się nakoniec ku kancelaryi, mruknął dobrodusznie pod nosem: *Merkwürdig... Diese Polen mit ihren Pantoprotscheju*!

Pan Precliczek był blady jak ściana i wyjąkiwał jakieś tłómaczenia, których Ekscelencya nie słyszał i które były całkiem zbyteczne, bo Jego Ekscelencya, jakkolwiek słynny swojego czasu ambasador i wojownik, nie był przecież Herodem. Ale panu Precliczkowi zdawało się, że suspensya, kajdany, Kufstein i szubienica były najmniejszą karą dla ojca, który śmiał mieć taką córkę. Córkę, która mówiła: „Do usług pana Dobrodzieja“, będąc córką c. k. naczelnika powiatu, Wenzla Precliczka, podczas gdy gruby, karmazynowy szlachcic potrafił przecież wygłosić lojalne słowa: *Schlecht, kaiserliche Exzellenz — Kartoffel sich nicht geboren!* Córkę, która śmiała czytać, i czytać taką *revolutionäre Brandschrift*, jak *Dziennik Literacki*, podczas gdy Jego Ekscelencya sam mawiał nieraz, że od czasu jak był kadetem, nie czytał żadnej książki! Czytanie jest zgubą i zagładą wszelkiej lojalności. Pan Precliczek odchorował to nieszczęście przez cały tydzień. Barszcz z uszkami i pierogi z serem nie mogły mu wyjść na dobre po takiej katastrofie, zresztą cierpiał i bez tego na jakieś „kwasy w żołądku“, jak mawiał.

Poczciwa publiczność powiatu capowickiego tłó-

maczyła sobie tę chorobę p. forsztehera na swój sposób. Nasza publiczność, a mianowicie jej część „zacna, światła i niezależna“, jak mawiał ś. p. *Głos*, ma dar widzenia w różowem świetle wszystkiego, nawet stanu oblężenia. A już u wysoko postawionych figur to upatrujemy zawsze jakieś przymioty nadzwyczajne, jakąś szczególną dla nas względność. Wszak są tacy, co wierzą, że p. Giskra jest w gruncie niezłym Polakiem. Rozgłoszono tedy, że Jego Ekscelencya „przysiadł“, to jest właściwie, raczył „przysiąść“ mocno forsztehera za różne „sekatury“, których tenże dopuszczał się w powiecie, a mianowicie za pociąganie JW. Capowickiego, najlojalniejszego człowieka w świecie, do protokułów, i za niesłychane rewizye, jakie odbywały się w domu państwa Kuderkiewiczów w Głęboczyskach, choć zawsze bez najmniejszego skutku. To tedy miało tak zirytować p. forsztehera, że aż się rozchorował. Powtarzano to sobie w powiecie i wielbiono Jego Ekscelencyę niemało.. Jesteśmy poczciwym narodem, zawsze prawie zadowolonym.

Powiedziałem, że rewizye w domu pp. Kuderkiewiczów były zawsze bez skutku. Tak samo działo się i z innemi czynnościami urzędowemi, które

przedsiębrał p. forszteher. Martwiło go to niemniej mocno, jak powyżej opisane zajście jego Milci z hr. Mensdorffem — a gniewało go, że nie wiedział kogo pociągać do odpowiedzialności za ciągłe nieudawanie się najsprytniejszych jego kombinacyi „państwowo-policyjnych?“

Z powodu zajścia z Milcią, wyprawił przynajmniej scenę p. Preliczkowej, i to go trochę pocieszyszyło. A pan Precliczek umiał, w razie potrzeby, utrzymać w domu karność taką, jak w becyrku między kancelistami, dyurnistami i amtsdienerami.—*Himmelkreutzdonnerwettersacramentkrucifixnochamal!* Tak zaczynały się zwykle łagodne jego napomnienia małżeńskie. Poczem następowało rzucanie różnych drobiazgów, jak np. doniczek z kwiatami, półmisków itp., a oczyściwszy zapomocą tej podręcznej artyleryi plac boju, pan forszteher uzbrajał się w cybuch lub packę na muchy i, uganiając po pokoju, powtarzał swoje *quos ego*! ścianom i piecowi — bo juści p. forszteherowa i Milcia miały na tyle strategicznego talentu, by sobie zabezpieczyć odwrót podczas takiego pierwszego wybuchu germańskiej furyi—*rabies teutonica*, jak ją nazywają.

Później p. forszteherowa umiała zawsze przechylić szalę zwycięztwa bodaj trochę na swoją stronę — wszak zostawał jej środek, z tak niezawodnym skutkiem praktykowany przez wszystkie żony, mające niespokojnych mężów!

P. forszteher mógł zamknąć cały powiat do kozy, ale ona mogła wygłodzić p. forsztehera. Mogła mu dać kawę, w której była połowa cykoryi, i do tego zwarzoną śmietankę. Mogła mu dać na obiad *mamałygę*, a jeszcze żaden Czech nie wytrzymał mamałygi. Zresztą p. forszteher miał jedną, bardzo słabą stronę, a tą były jego „kwasy w żołądku.“

Każdy wielki człowiek ma taką słabość. Władysław Waza bał się jabłek, Bayard bał się strzelby, Piotr Wielki bał się iść przez most, p. Precliczek bał się swoich „kwasów.“

Pani forszteherowa potrzebowała tylko, złożywszy ręce, powiedzieć: — Ach, jak ty dziś źle wyglądasz, jakiś ty blady! a p. forszteher bladł zaraz naprawdę i jęczał: *Das sind schon wieder meine verfluchten Säueren in Magen.* I przez cały dzień dał się prowadzić, jak dziecko, Milcia mogła sobie czytać

Dziennik Literacki, mogła sobie jechać do Głęboczysk do państwa Kuderkiewiczów, gdy po nią panny przysłały powóz, p. forszteherowa mogła przyjmować i odwiedzać, kogo się jej podobało. Tak tedy, przynajmniej w drobnych szczygółach codziennego życia, kobiety mogły się rządzić według swego upodobania, —w wielkich kwestyach politycznych, urzędowych i familijnych p. Precliczek wykonywał natomiast absolutną władzę, ograniczoną tylko przez *votum consulativum* Dudia i jego zacnej rodziny.

Umiały jednak kobiety obchodzić nieraz władzę pana forsztehera i w takich ważnych rzeczach, choć p. forszteher nigdy nie domyślał się tego i gniewał się tem mocniej, jak już wyżej wspomniałem, tylko gniewał się w kancelaryi, a nie w domu. I tak, w pamiętnym r. 1863 i 1864 udało się nieraz niestrudzodzonym zabiegom p. forsztehera i innych urzędników powiatowych nachwytać kilka tuzinów tych niebezpiecznych indywiduów, które snuły się po kraju, jakgdyby § 66 nie egzystował w kodeksie karnym. Gdy już koza powiatowa była aż do pęknięcia naładowaną zaburzycielami spokojności publicznej, gdy drzwi były zaryglowane i pczamykane na pięć kłódek, p. forszteher pisał raport do cyrkułu i kładł się spać, anty-

cypując w słodkich marzeniach przyjemność „ciągnienia“ protokułu z tych strasznych zbrodniarzy. Ale rano, nim jeszcze *die Gnädige* przyniosła mu do łóżka kawę i zapewnienie, że na dziś nie potrzebuje się obawiać niczego od swoich „kwasów“ w żołądku — wchodził z niezmiernie rzadką miną pan Newełyczko, poufny dyurnista p. forsztehera, i oznajmiał mu, że drzwi od kozy są mocno zaryglowane, kłódki nietknięte a raport gotów do wysyłania na pocztę, tylko—insurgentów gdzieś niema. Przewracano całe Capowice do góry nogami, aresztowano wszystkich przechodniów i przejezdnych, grożono urzędnikom suspenzyą, amtsdienerom kryminałem, uskuteczniano czasem te groźby, ale insurgentów już nie odszukano! Powtarzało się to bardzo często, a p. becyrksforszteher nie domyślił się ani razu, że ci złoczyńcy znajdowali się na jego strychu, zakwaterowani przez p. forszteherową i Milcię, że pili tam jego kawę, palili jego schwarz-dreikönig, czasem nawet z własnych jego fajek, i o zgrozo! przebierali się czasem we własną jego, najsekretniejszą bieliznę!

Czasem znowu, gdy o szóstej zrana cała urzędowa ekspedycya, z żandarmami, z wojskiem i kajdanami w kieszeni wyjeżdżała do Głęboczysk, albo do

Małostawic, albo jeszcze gdzieindziej, w celu zrobienia najściślejszej rewizyi w tamtejszych dworach, i kiedy o szóstej wieczór cały ten aparat państwowo-policyjny przywożono napowrót do Capowic, bez żadnego połowu: ani forszteher, ani nikt w świecie nie domyślał się, że poprzedniej nocy mały żydek capowicki, Szlojma, odbył już był tę samą drogę, z karteczką, wystosowaną do W. pani Kuderkiewiczowej, albo do pani Bzikowskiej tej treści: „Jeżeli Pani Dobrodziejka ma jeszcze na sprzedaż to masło, o któ rem mówiłyśmy w niedzielę, to proszę mi je przysłać jutro rano o 6-tej. Z uszanowaniem“ i t. d. Jeden tylko Szlojma uważał, że zwykłe rewizye obierały sobie tę samą drogę do wyjazdu, którą on wracał — ale Szlojma z natury był małomównym i miał inne jeszcze powody do milczenia.

Tak to i najwięksi politycy nie mogą być pewni, czy plany ich nie będą pokrzyżowane przez najbliżej nich stojące osoby. Czy Napoleon III może wiedzieć, ażali Eugenia nie miesza mu czasem jego szyków? Pan Precliczek, mimo swoich kwasów w żołądku, był wielkim politykiem, a nie wiedział tego przecie; a nawet pani asystentowa nie domyślała się nigdy istotnego stanu rzeczy. Później dopiero, ku wielkiemu poru-

szeniu opinii publicznej w Capowicach, wyszły na jaw różne scysye, mające niejaki związek z powyżej dotkniętym antagonizmem i z bohaterką niniejszej powieści.

O bohaterce tej mówiliśmy dotychczas trochę zamało, poświęcimy jej tedy rozdział następujący.

ROZDZIAŁ III,

który jest w części bardzo sentymentalny, a w części traktuje o różnych kwestyach finansowych, administracyjnych, gminnych i głodowo-komisyjnych.

Na całym obszarze capowickiego powiatu, obejmującym 36 gmin i tyleż obszarów dworskich, w liczbie ludności, zaliczanej pospolicie do kategoryi „szlachty“ i „inteligencyi“, znajdowało się 47 panien na wydaniu, która to cyfra nie obejmuje jednakowoż dorosłych córek księży obrządku unickiego i oficyalistów prywatnych poniżej godności rządcy lub plenipotenta, ani też tych panien, które dłużej niż od lat 25 ciu figurowały w spisach ludności jako kandydatki

do świętego stanu małżeńskiego. Oprócz tego żyły na tejże przestrzeni jeszcze cztery wdowy, także będące na wydaniu. Ze strony więc płci pięknej, na wypadek jakiego pospolitego ruszenia, którego celem byłoby ożenienie, a *respective* zamążpójście całego rodzaju ludzkiego, kontyngent byłby wynosił 8 i pół na milę kwadratową, bo powiat capowicki miał sześć mil kwadr. obszaru. Nierównie mniej korzystnym dla celów takiego idealnego pospolitego ruszenia był stosunek liczebny popisowych płci męskiej. Między „szlachtą“ było dwóch wdowców, trzech starych i dwóch młodych kawalerów, między „inteligencyą“ trzech kawalerów, razem 10, czyli $1^2/_3$ na milę kwadratową geograficzną. Przypadało tedy na 1 kandydata $5^1/_{10}$ kandydatek, a na jedną kandydatkę $^{10}/_{51}$ kandydata, czyli mniejwięcej jedna piąta część pana młodego, co wydać się musi jeszcze bardzo niedostatecznem, jeżeli rozważymy, że jeden z kawalerów, p. magister farmacyi, Pigulski, aptekarz w Capowicach, miał tylko cztery stopy i dwa cale długości.

Cyfry te, zupełnie autentyczne i oparte na urzędowych wykazach, nie mają wprawdzie bezpośredniego związku z dziejami osób, wchodzących w ni-

niejsze opowiadanie, ale spodziewam się, że będą one świadczyć wymownie o gruntownych i sumiennych studyach, które przedsięwziął autor, nim przystąpił do napisania tej ze wszechmiar wiarygodnej powieści. Pośrednio zaś mogą one być uważane jako matematyczny dowód wysokich zalet, czarujących wdzięków i innych niezrównanych przymiotów serca, ciała i duszy bohaterki, której imię wraz z niniejszem arcydziełem kunsztu powieściopisarskiego przejdzie do najpóźniejszej potomności. Bo jakimże aniołem piękności i dobroci musiała być panna Emilia; pomyśl to sobie, szanowny czytelniku — skoro pomiędzy 47-iu starszych i młodszych, jasno i czarnowłosych, szczupłych i pulchnych, słusznych i drobnych, posażnych i nieposażnych innych aniołów wybrał ją sobie na bohaterkę powieści tak znakomity autor, jakim ja będę niezawodnie, byłem tylko znalazł redakcyę tak uprzejmą, którąby mi pozwoliła umieścić w szpaltach swoich napisaną przezemnie krytykę moich własnych dzieł i zwrócić uwagę czytającej publiczności na to, że dzieła te należą do najcelniejszych płodów literatury ojczystej i że powinny być czemprędzej przełożone na język np. serbski? Dziś bowiem autorowie nie powodują się już tą fałszywą skromnością, która

im dawniej zabraniała chwalić własne utwory. Niedawno pewien poeta liryczny ogłosił światu zjawienie się tomika swoich wierszy temi słowy, że „oto mamy znowu świeży zbiór piosnek naszego młodego skowronka N. N.“ Jest to już wielki postęp — chociaż nie wiem, dlaczego przez resztkę niepotrzebnej skromności młody wieszcz nie porównał się do większego jakiego ptaszka, ot tak do dudka, albo gawrona?

Ale porzućmy te literackie gawędy, któremi czytelnicy gazet mają dość sposobności przesycić się, zważywszy, że panowie dziennikarze i literaci najchętniej i najwięcej piszą teraz o sobie samych. Wracajmy do naszej bohaterki i do jej anielskich przymiotów. Starajmy się przedstawić ją tak, by każdy z samego opowiadania musiał się w niej zakochać, jeżeli ma w swojem sercu miejsce na uczucie tak nieutylitarne, jak miłość. Tak jest moje panie, utylitaryzm to wyrugował z serca męż zyzn wszelką zdolność kochania was wszystkich w razie, gdy nie macie posagu; utylitaryzm zagłuszył wszystkie szlachetne uczucia, wierzajcie mi, i przyłączcie się do opozycyi. Nie pozwalajcie mężom, synom, braciom i ko-

chankom waszym brać udziału w fakelcugach dla hr. Gołuchowskiego, ani też podpisywać adresów do tego reprezentanta utylitaryzmu i innych pomniejszych bezbożności. Temi dniami zwołany będzie w Mościskach mityng starych panien, który uchwali rezolucyę, potępiającą w najostrzejszych wyrazach byłego namiestnika i całą delegacyę polską za kierowanie się utylitarnemi względami; podpiszcie się wszystkie na tej rezolucyi i dajcie ją wydrukować w jakim organie opozycyjnym, jako głośny protest przeciw pogwałceniu najświętszych uczuć, praw itd.

Panna Emilia miała duże oczy, pełne wyrazu, które musiałyby oczarować nawet najutylitarniejszego z utylitarnych naszych delegatów i spowodować go do głosowania za wnioskiem Smolki. Było w nich tyle serca i tyle rozumu, że możnaby było obdzielić całą Radę miejską pewnego stołecznego miasta temi przymiotami, a jeszczeby się było zostało coś i dla niej samej. Było w nich więcej ognia, niż w najsiarczystszej mowie pana Tadeusza Romanowicza, który jest bardzo przystojnym młodzieńcem, redagującym *Dziennik Lwowski*, i którego, kochane czytelniczki, polecam jaknajusilniej waszym względom już z tego

jednego powodu, iż nienawidzi wszelkiego utylitaryzmu. Było w nich—ach było w tych oczach wiele jeszcze innych rzeczy, przedziwnie uroczych i zachwycających, koloru zaś były piwnego. Dodajmy do tych oczu ciemne brwi i rzęsy, ciemne włosy, regularne rysy twarzy, płeć niezbyt śniadą, wzrost sięgający sześciu cali nad poziom czupryny wspomnianego powyżej magistra farmacyi, p. Pigulskiego, i tuszę, której większe wypełnienie byłoby już nadmiarem tego rodzaju wdzięków — a oto mamy dokładniejszy rysopis córki p. naczelnika powiatowego w Capowicach, niż go zawierała jej karta legitymacyjna, opatrzona jednoreńskowym stemplem i podpisem kochanego papy. Każdy pojmie bowiem, że naczelny stróż porządku i bezpieczeństwa publicznego w powiecie Capowickim nie mógłby był pozwolić, aby córka jego nie była zaopatrzoną w dokument, tak niezbędny każdemu spokojnemu obywatelowi i każdej spokojnej obywatelce. P. Precliczek, gdyby był sam siebie przydybał gdzie bez karty ligitymacyjnej, byłby się kazał bez litości odstawić na miejsce urodzenia, w celu zbadania identyczności swojej osoby.

Z zewnętrznej strony poznaliśmy tedy pannę

Emilię jako bardzo piękną i dość słuszną szatynkę, w której powinienby się kochać cały rodzaj męski, gdyby się już nie kochał w różnych artystkach dramatycznych i różnych akcyach, to spadających, to znowu idących w górę. Co do wewnętrznych przymiotów, piękna ta główka, ujęta w ciemne warkocze, zawierała oprócz należytego zapasu niezapomnianej jeszcze szwajcarsko-lwowskiej francuszczyzny i innych elementów przyzwoitego wychowania kobiecego, wszystko to, co się przez kilka lat zaczerpać dało z wypożyczalni książek i z tego archiwu wschodnio-galicyjskiej piśmienności, które nazywamy *Dziennikiem Literackim*. Było tam tedy trochę Sue'go, Dumas'a, Bulwer'a i Sand'a, daleko więcej Korzeniowskiego i Kraszewskiego, bardzo wiele Mickiewicza, a coś trochę Słowackiego, nieco rzeczywistej wiedzy i niezmiernie wiele pięknych rojeń, snów, zachwytów—jednem słowem, cały arsenał polskiej poezyi, i cała skarbnica dobrych i szlachetnych pojęć. Jest to może najszczęśliwsze umeblowanie wnętrza tak pięknej główki, o jakiem marzyć można w naszych czasach. Trochę więcej poezyi, a będzie chorobliwa egzaltacya; trochę więcej nauki, a będzie nieznośna, zarozumiała

półuczoność; trochę mniej jednego i drugiego, a będzie egoizm, modna próżność. Rad jestem bardzo, że pod tym względem mogę bohaterkę moją postawić jako wzór godny naśladowania, i powinszuję z serca pensyonatowi, który dla elewek swoich potrafi wypośrodkować wychowanie takie, jakie sobie dała panna Emilia sama—bo, poduczywszy się w jednym z tych zakładów znanej ilości nieuniknionej francuszczyzny i „fortepianu“, kształciła się dalej sama, czytając poprostu to, co się jej podobało i wrodzonym instynktem oddzielając co dobre, od złego, co prawdziwe, od chorobliwie wybujałego.

Od głowy powinienbym przejść do serca, jako do siedziby najważniejszych przymiotów, któremi błyszczeć powinna każda bohaterka w powieści, dramacie i w życiu. Powinna kochać Boga, rodziców, ojczyznę, wszystkich bliźnich, wszystkie kwiatki i zwierzęta domowe, wschód i zachód słońca, zieloność majową, śpiew słowika i jeszcze wiele innych rzeczy, a za wybranym swego serca powinna tęsknić aż do schudnięcia, być gotową do wszystkich ofiar dla niego i—jeżeli rzecz dzieje się w książce—powinna dla przykładu i zachęcenia swoich rówieśniczek ponieść

rzeczywiście niektóre wielkie ofiary, wylać całe morze łez i pozostać wierną wśród największych przeciwieństw. W życiu dzieje się to czasem trochę inaczej. Lecz taka to już przywara nasza ludzka, że ani nie zachowujemy dyety, ani nie gospodarujemy, ani też kochamy się podług tego, jak przepisują w książkach, ale każdy po swojemu. Ten czyta Hufelanda i je pod wieczór wieprzową pieczeń z kwaśną kapustą, tamten studyuje Liebiga i nawozi co roku 20 morgów pola 30-ma furami zbutwiałej słomy, a jeszcze inny rozczula się nad „Intrygą i miłością“, a porzuca wierną Ludwikę dla posażnej Eulalii. Zaiste, niewartoby pisać książek dla tak niepoprawnego pokolenia, gdyby wśród tego pokolenia nie było i was, szanowni czytelnicy, i jeszcze szanowniejsi nabywcy tej powieści. Dla was tedy i dla nikogo więcej opowiem, jak panna Emilia kochała i kogo, jak płakała i jak długo, do jakich nakoniec ofiar była gotową — ale opowiem to wszystko swojego czasu i na swojem miejscu, w następujących rozdziałach. Na teraz, nie mogę wam o jej sercu powiedzieć nic więcej, jak tylko to, że było to najlepsze serce w Capowicach i w całym capowickim powiecie, gdzie biło 20,000 serc po kilkadziesiąt razy na minutę.

Ale nietylko głowę i serce ma każdy człowiek, ma on jeszcze i kieszeń. Rozum daje bardzo małe dywidendy, a miłość w niskiej chałupeczce ma być wprawdzie nader słodką rzeczą, lecz musi wydarzać się albo w lecie, albo w zimie, gdy zapalono w piecu —inaczej boski ten płomień bynajmniej nie wyłącza chłodu. Nie jest to moje zdanie, broń Boże, ja uczyłem się miłości z książek i wiem, że powinna wytrzymać wszystkie próby i wszystkie dolegliwości moralne i fizyczne, ale utylitarna większość galicyjska ma inne, praktyczniejsze przekonanie. Dopóki więc wiernie stojąc przy sztandarze opozycyjnym, nie nawrócimy tej większości na lepszą drogę, musimy się rachować z jej słabościami. Chciałbym, ażeby większość zakochała się w mojej bohaterce, bo to wzmoże interes, jaki może obudzić moja powieść. Zrobię tedy koncesyę sprośnemu utylitaryzmowi i powiem, że panna Emilia, jak na forszteherównę, była nietylko piękną, rozumną i dobrą, ale i posażną panienką.

Pan Wencel Precliczek, oprócz granatowego fraka i starego cylindra, nie wyniósł ze ściślejszej swojej ojczyzny żadnego innego majątku. Nie wygrał nigdy na loteryi, nie wziął żadnej sukcesyi i wydawał

rocznie prawie tyle, ile pobierał z kasy tytułem pensyi. Mimo to, przyznawał się czasem, że udało mu się zaoszczędzić małą sumkę, a według dokładnych informacyi, których można było zasięgnąć u żydków w Capowicach, mała ta sumka wynosiła około 60,000 złr. Spodziewam się, że jedynaczka jego wyda się teraz każdemu daleko piękniejszą, rozumniejszą i lepszą Nawet brylant wydaje się lepiej w pięknej złotej oprawie.

Zapewne ciekawość publiczna, mile dotknięta tą wiadomością, zechce postawić pytanie: jakim też szczególnym okolicznościom pan Precliczek zawdzięczał tak kwitnący stan swoich interesów materyalnych? Mój Boże! Co ludziom do tego? *Man muss leben und leben lassen*! To było zasadą pana forsztehera, a zasada ta niosła daleko więcej procentu, niż wszystkie zasady demokratyczne, wraz z prenumeratą na dzienniki, tych ostatnich zasad broniące. Pan forszteher pozwalał żyć wszystkim ludziom, z wyjątkiem tych, którzy byli politycznie podejrzani—a ci zwykle nie mają pieniędzy. Nawzajem, ludzie niepodejrzeni dawali żyć p. forszteherowi, który był oraz najwyższą sądową władzą w powiecie capowickim, i rządził i sądził podejrza-

nych i niepodejrzanych. Najpierw tedy pamiętajmy, że sknerstwo hr. Belcredego dopiero 1866 roku wyznaczyło pewne pauszale roczne na drobne wydatki urzędów powiatowych, ale przez dziesięć lat poprzednich wydatki te ponosił skarb państwa, z większem uwzględnieniem potrzeb wszechobecnej administracyi, niż krzyków ze strony malkontentów, żalących się na wysokie podatki. Oprócz kosztów oświetlenia, ogrzania, bielenia i mycia gmachu urzędowego, oprócz atramentu, laku, szpagatu i papieru, i t. d., i t. d., były jeszcze komisye sądowe i polityczne, które musiały zwiedzać bardzo często wszystkie gminy powiatu capowickiego. Nic słuszniejszego, jak to, że wynagradzano urzędników sowitemi dyetami za trudy, ponoszone przy takich sposobnościach. Teraz nie jeżdżą już komisye tak często, ale w owych czasach, pan forszteher sam robił po kilka tysięcy mil na rok, wzdłuż, wszerz i naokoło swego powiatu. Potem, były sprawy różnego rodzaju—wiadomo, że włościanie nasi lgną do władzy i turbują ją ciągle różnemi interesami, to reklamacyami w celu uwolnienia synów od wojska, to skargami na wójtów, na dwory i t. p. Przytem nie znają praw i przepisów, potrzeba im wszystko objaśnić. Objaśnień takich udzielał pan forszteher

albo sam osobiście, albo przez Dudia, a ludek, przejęty wdzięcznością, wyrażał tę wdzięczność jak mógł i umiał. Dalej, znajdowało się w powiecie paru zrujnowanych obywateli ziemskich, którzy często potrzebowali pieniędzy. Pożyczyć łatwo, ale odebrać trudno,—Dudio udawał się tedy nieraz do p. forsztehera z prośbą, by pomógł wyegzekwować tę i ową sumkę. Pan forszteher pomógł mu, ale obawiając się, by Dudio przez dobre swoje serce nie naraził się kiedy na wielkie straty, zaproponował mu, aby nie ryzykował zawsze swojej krwi, swojego ciężko zapracowanego grosza u tych utracyuszów polskich, ale aby użył w tym celu paru tysiączków, które uciułał był pan forszteher. Dudio uczynił to i przyznał się potem panu forszteherowi, że jest wiele jeszcze dobrych stron u tych Polaków, bo za 2,000 gotówką, dali mu, z czystej i nieprzymuszonej wdzięczności, weksle opiewające na 5,000. Dudio ze swej strony był zacnym i rzetelnym człowiekiem i przypuścił pana forsztehera do odpowiedniej części zysku. Weksle po upływie terminu wyegzekwowane były z większym pośpiechem i z większą energią, niżby się kto był spodziewał tego po okrzyczanej procedurze austryackiej—ale prawda, że pan forszteher miał słabość dla Dudia i sam bardzo

gorliwie zajmował się jego interesami. Nieraz, nim wysokie erarjum za pośrednictwem pana forsztehera zdołało zasekwestrować jaką stertę zboża za zaległe podatki, już sterta była zasekwestrowaną, wymłóconą i zlicytowaną na rzecz Dudia, w drodze egzekucyi wekslowej. Tym sposobem mnożyły się tysiączki pana forsztehera w tej samej proporcyi, w jakiej wzrastało przerażające minus w majątkach owych szlachciców.

Następnie Dudio odkrył okoliczność, która nastręczyła panu Preciczkowi nieocenioną sposobność objawienia życzliwości dla tego biednego ludu wiejskiego, na którego barki większość sejmowa, jak mówią niektóre dzienniki, zwala wszystkie ciężary. Oto podczas wojny krymskiej, gdy rozpisano „dobrowolną pożyczkę narodową“, pospędzano wszystkich wójtów i deputatów gminnych do Capowic, i kazano im tam subskrybować w imieniu gmin na tę patryotyczną pożyczkę. Tym sposobem, każdy z członków gminy stał się o pewną ilość guldenów uboższym, ale każda gmina posiadała natomiast pewną ilość obligacyi pożyczkowych. Dudio przedstawił panu forszteherowi, że ten głupi lud nie wie, co ma robić z owemi obligacyami, że często nawet nie obcina kuponów i t. d. Pan

forszteher, jako opiekun majątków gminnych, udzielił upoważnienia do sprzedaży tych obligacyi, a z drugiej strony zaopatrzył Dudia w ilość banknotów, potrzebną do ich nabycia. Lud był tak uradowany, że obligacye 1000-reńskowe sprzedawał po 100 złr., byle mógł korzystać czemprędzej z łaski pana naczelnika i pozbyć się papierów, których użytku nie znał. Tylko wójt w Głęboczyskach, podbechtany przez dzierżawcę, pana Kuderkiewicza, zapoznał korzyść tej operacyi finansowej, ale usunięto go natychmiast i mianowano wójtem innego włościanina, który właśnie przed kilkoma miesiącami powrócił był ze Lwowa, gdzie, przez 6 lat mieszkając u Brygitek, rozwinął był swoje pojęcia o ekonomii politycznej. Tak więc operacyę ukończono szczęśliwie i nikt nie weźmie za złe p. forszteherowi, iż, dawszy tyle dowodów swej ludzkości, przyjął potem od Dudia owe obligacye zamiast pożyczonej mu przedtem kwoty, oczywiście z potrąceniem pewnego zysku, bo już to żyd musi koniecznie zyskać na wszystkiem, nawet na filantropii.

Niemniej filantropijne było postępowanie pana forsztehera, gdy zaczęły go dochodzić skargi, iż wójci i deputowani poprzepijali gotowe pieniądze, pochodzą-

ce ze sprzedaży obligacyi. Żadnego nie pociągano do odpowiedzialności i, dzięki tej łagodności, cała sprawa jest już dziś zapomnianą i nikomu nie przychodzi na myśl, że gminy w powiecie capowickim posiadały kiedyś obligacye „dobrowolnej“ pożyczki z roku 1854.

Najmocniej atoli objawiła się ta sama ludzkość i dobroduszność pana Precliczka w tym roku, w którym go zastaje nasza powieść w Capowicach. Był to ów ciężki przednówek roku 1866 — komitety głodowe rozwijały wszędzie wielką czynność; J W. Capowicki, niezmordowanie zajęty niesieniem pomocy, rozdzielaniem jęczmienia, żyta i t. d. między potrzebujących, zaraz drugiego dnia zachorował z natężenia i wyjechał do Karlsbadu; ksiądz Zając z miłości chrześciańskiej dozwolił, by w piekarni na folwarku, należącym do probostwa, gotowano zupę rumfordzką za pieniądze, przeznaczone na bezpowrotną zapomogę; a pan forszteher wraz z innymi zacnymi obywatelami i plebanami grecko-katolickiego obrządku, sam z własnej kieszeni wspierał potrzebujących, kupując od nich tę nieurodzajną ziemię, która dawała im umrzeć z głodu. Dla obu stron interes taki był nader korzystnym, bo np. za 5 złr. można na wsi żyć dwa tygodnie z ca-

łą rodziną, jeżeli się kto kontentuje krupnikiem jęczmiennym rano, w południe i wieczór, a mórg pola sprzedany za tę cenę, ani jeden dzień nie mógł nakarmić nikogo, skoro nic się na nim nie urodziło. Niemniej atoli jest prawdą, że po tej cenie można było za parę tysięcy złotych reńskich kupić obszar ziemi, równający się wielkiej posiadłości tabularnej.

Tak tedy, dzięki nieposzlakowanej swej rzetelności, gorliwości w pełnieniu obowiązków i ludzkiemu usposobieniu, pan Precliczek posiadał w swojej szufladzie dość znaczne kapitały, a na imię swej żony był oprócz tego właścicielem bardzo pięknej nieruchomości, obejmującej kilkaset morgów roli. Panna Emilia była najlepszą partyą w całym powiecie, po obu pannach Capowickich. Jeżeli „tkniętych takowemi wdzięki“ nie będę mógł wprowadzić w szranki o jej rękę licznych książąt i mężnych rycerzy, to winne temu tylko złe czasy, które każą książętom starać się raczej o koncesye na koleje żelazne, a mężnych rycerzy robią dziennikarzami opozycyjnymi, mężnie szermierzącymi piórem i słowem, ale nie w służbie piękności.

ROZDZIAŁ IV,

w którym autor poczyna rozpatrywać się za bohaterem dla swojej bohaterki.

Gdy panna dojdzie do lat dwudziestu, albo i pierwej, jest rzeczą w zwykłych okolicznościach i stosunkach ludzkich nieuniknioną, że tak ona sama, jakoteż i rodzice jej poczynają na seryo rozważać ewentualność jej wyjścia za mąż. W najwyższych i najniższych sferach społeczeństwa ważna kwestya zawarcia ślubów małżeńskich przedstawia bardzo mało trudności i nikt tak mało nie kłopocze się ożenieniem syna lub wydaniem córki za mąż, jak królowie, wielcy bardzo panowie i chłopi. Czy pan młody „przystaje do

gruntu", czy, mając już grunt, szuka sobie tylko gospodyni do swoich krów i wieprzaków, lub, *respective*, damy, którąby robiła honory jego domu i była matką i babką jego potomstwa, zachód jest w każdym razie niewielki, bo na obu tych kończynach cywilizowanego społeczeństwa ludzie żenią się tylko „między sobą" i przy układaniu małżeństw uważają tylko na wzajemną dogodność, a raczej, uważają za nich na to rodzice i starsi. W bardzo tylko wyjątkowych razach upatrzona przez rodziców i starszych wzajemna dogodność nie trafia do przekonania państwu młodym i układ familijny napotyka z ich strony na opozycyę.

W ogólności, małżeństwa z przeszkodami wydarzają się tylko u klas średnich i dlatego to klasy te dostarczyły przedmiotu do tylu romansów, komedyi i dramatów. Tu — jeszcze opiewane przez poetów uczucia, wyśmiewane przez satyryków wady i zdrożności odgrywają na seryo znaczną rolę przy kojarzeniu się każdego stadła i możnaby napisać interesującą powieść o tem, jak, dlaczego, i kiedy każdy z nas się ożenił, a jak zamierzał sam, lub jak zamierzano go ożenić. Boję się tylko, że gdyby każdy z nas podał w ten sposób swoją autohymenografię do wiadomości

publicznej, jaki zimny filozof i statystyk niemiecki obliczyłby w końcu, że trzy czwarte części rodzaju ludzkiego żenią się, ponieważ nieubłagana jakaś fatalność popycha je do tego — bez żadnego innego racyonalnego lub sentymentalnego powodu. Z tego wykonkludowałby bardzo sprytnie tenże sam filozof, że człowiek jest całkiem prostem bydlęciem, a to, co się nazywa rozumem i uczuciem, jest tylko sporadycznie zjawiającą się, a normalną fermentacyą czy wibracyą mózgu. Bądź co bądź atoli, sam fakt ożenienia się może być skutkiem nieubłaganej fatalności, zakorzenionego zwyczaju i t. d., lecz wybór drugiej osoby, według prawa natury potrzebnej do zawarcia małżeństwa, jest zawsze aktem, przy którym człowiek może dowieść samemu Darwinowi, że i o ile jest czemś więcej, niż nowomodnem wydoskonaleniem pawiana, szympansa lub orangutanga.

Z żalem przychodzi mi zapisać na tem miejscu, że pani Precliczkowa i p. Precliczek, gdy brali pod rozwagę ewentualność wydania za mąż swojej Milci, zdawali się skłaniać do teoryi, stawiającej człowieka w tak bliskiem pokrewieństwie z małpą. Mieli oni oboje osobne swoje ideały, które, ich zdaniem, powin-

nyby były uczynić Milcię zupełnie szczęśliwą, a Milcia nie bez pewnej słuszności oba wybrane indywidua zaliczyła do wyszczególnionych powyżej rodzajów czwororęcznego naszego sąsiada w królestwie zwierząt.

Pan Tomasz Skrzeczkowski, czyli według drukowanych w Dreznie kart wizytowych, Sir James Skrzeczkowski, of Katarynce, był w ukrytych marzeniach pani Precliczkowej najpożądańszym „losem“, jaki mogła wygrać Milcia na matrymonialnej loteryi powiatu capowickiego. Katarynce były jego własnością dziedziczną, The Devil's Mare była jego ulubionym wierzchowcem, Wieczyński był jego dostarczycielem tużurków, Janowski jego fryzyerem, gdy zjechał do Lwowa, trzewiki zaś sprowadzał z Wiednia, bo u nas nie umieją robić obuwia. Sir James (proszę czytać: „ser dżems,“ ażebyś się, kochany czytelniku, nie zdradził, jeżeli nie umiesz po angielsku) — Sir James tedy był pierwszym wzorem elegancyi w całej okolicy capowickiej, był już raz w Dreznie, a dwa razy w Wiedniu, mawiał „Adam“, „Stefan“, „Wacio“ i „Żmirko“ o ludziach, znanych w całym kraju po bardzo rozgłośnych nazwiskach, poprzedzonych skró-

ceniami: *ks.* albo *hr.*—i należał, jak powszechnie wiadomo, do kasyna „narodowego“, gdzie „Adam“ i „Stefan“ zaledwie dostrzegali jego obecność, a „Wacio“ i „Żmirko“ brali go na fundusz, ile razy się pokazał. Sir James uważał to atoli za całkiem naturalny i konieczny wynik wyższego dobrego tonu, korzystał, jak mógł, z tak świetnych wzorów, nosił takie bakenbardy, szkiełka, tużurki i kamasze, jak oni, ubierał swoją służbę, jak oni swoją, i żartował z młodego sąsiada swego na wsi, pana Ksawerego Papinkowskiego, jak tamci żartowali z niego samego. Pan Ksawery Papinkowski brał bowiem swoje bakenbardy, szkiełka, kamasze, maniery, liberye i karkołomne wózki z drugiej ręki, to jest naśladował we wszystkiem Ser Dżemsa, co tenże znajdował nadzwyczaj śmiesznem i opowiadał z wielką werwą „Wilusiowi“ i „Żmirkowi“, gdy ich spotkał we Lwowie. Rzecz naturalna, że „Wiluś i Żmirko“ bawili się przy takich sposobnościach podwójnie, raz kosztem pana Papinkowskiego, którego nie znali, a drugi raz kosztem Ser Dżemsa, w którym widzieli własną swoją karykaturę. Może z wrodzonej niektórym kobietom bystrości spostrzegania, a może wskutek rozczytania się w powieściach, „fotografiach“ i „portre-

tach Nie-Van-Dyka," Milcia jakoś odrazu znalazła słuszną miarę do ocenienia wszystkich tych zalet Sir Tomasza Skrzeczkowskiego i podczas gdy pani Precliczkowa widziała w nim ukończonego kawalera, należącego do wielkiego świata, Milcia uważała go za małpę bardzo podrzędnego rodzaju i w towarzystwie przyjaciółek umiała prezentować tak doskonale wszystkie jego śmieszności, że ani „Wiluś" ani „Żmirko" nie byliby tego lepiej potrafili. Wogóle świat panieński w powiecie capowickim celował w wynajdowaniu różnych niedoskonałości w osobie Ser Dżemsa, ale, mówiąc między nami, pochodziło to ztąd, że mama Ser Dżemsa postanowiła sobie koniecznie ożenić synka w Dreznie, wskutek czego Ser Dżems zwracał tylko bardzo pobieżną uwagę na wszystkie te wdzięki, które co niedzielę wysiadały z różnych koczów, dorożek i kolasek przed zakrystyą kościoła capowickiego. Nawet nowiuteńkie kapelusze czterech panien Podpogodyńskich, świeżo zapisane ze Lwowa, nie rozczulały tego zimnego Anglika capowickiego; nawet białe niciane rękawiczki, które stary pan Papinkowski na usilne naleganie swoich córek musiał sprawić dla woźnicy i lokaja, nie były dość drezdeń-

skiemi dla Ser Dżemsa, nie przeszyły płomienistym grotem tej gąbki, ukrytej pod lewą klapą jego żakietu w miejscu, gdzie inni ludzie miewają serce. Córki, mamy, a za niemi papowie nienawidzili lorda z Kataryniec serdecznie, a on odpłacał się im arystokratyczną, lekceważącą półgrzecznością, jakiej sam nieraz padał ofiarą, gdy „Adam“ albo „Stefan“ chcieli mu dać poznać różnicę, zachodzącą między człowiekiem o mitrze lub dziewięciu perełkach, a jakimś tam Skrzeczkowskim. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że powszechna ta nienawiść byłaby się podwoiła wszędzie, ale byłaby się zamieniła w uwielbienie w tym dworze, do któregoby Ser Dżems zajechał swoją skaro-gniadą czwórką w tych samych zamiarach, w jakich mama wyprawiała go na przyszły rok do Drezna, to jest skoro papie uda się załatwić przeniesienie pewnej wierzytelności tabularnej katarynieckiej z lwowskiego Towarzystwa kredytowego do Bodenkreditanstaltu w Wiedniu, gdzie dają daleko droższe i daleko większe pożyczki.

Kto mi jednak powie, że Milcia byłaby się może także nawróciła do cichego uwielbienia, z jakiem pani Precliczkowa spoglądała na niezwyciężony gukier i na

pogłębiające kamasze Ser-Dżemsa Skrzeczkowskiego, of Katarynce, gdyby ten gukier i te kamasze znalazły się były u pięknych, drobnych nóżek forszteherównej capowickiej—(Milcia na przekór swemu germańsko-czecho-slovanskemu pochodzeniu, miała naprawdę drobne nóżki), kto mi to powie, powtarzam, ten jest obrzydliwym sceptykiem, cynikiem, człowiekiem bez najmniejszego szlachetnego uczucia, którego porąbię, albo zastrzelę, przy najbliższej sposobności. Milcia miała wyobrażenie tak wzniosłe i taką pogardę dla czczej próżności i głupoty modnej, jak przystało na bohaterkę przyzwoitej powieści, i ktoby o tem wątpił ten obraża autora. Zresztą gukier i kamasze Ser Dżemsa nie wystawiły nigdy tego, między tysiącami wybranego serduszka, na taką ogniową próbę, i raz tylko na jakimś balu u JW. Capowickich, w Capowicach, jedna, i to prawa klapa fraka (od Wieczyńskiego ze Lwowa), chwilowo przy walcu zetknęła się z lewą stroną stanika, skromnie zakrywającego kształtny gors et caet. panny Emilii. I chociaż panna Ambrozyna Podpogodyńska odkryła przy tej sposobności niezwykły rumieniec na licu i niezwykły blask w oku panny Emilii Precliczkównej, to mogę zaręczyć, że były

to jedynie skutki animacyi, pochodzącej z tańczenia, a spostrzeżenia panny Ambrozyi pochodziły jedynie ze złośliwej, kobiecej zazdrości. Jak mało sympatyi Sir James budził u Milci, o tem świadczy najlepiej rozmowa, która się wywiązała między nimi zaraz po owym walcu, z powodu biletu wizytowego Sir Jamesa, dostrzeżonego przez Milcię na serwantce państwa Capowickich.

— Czy pan jesteś baronetem angielskim?

— A... a... to dlaczego mię pani pyta?

— Bo widzę tu „Sir“ na pańskim bilecie, a jak czytałam, tytuł ten dają Anglicy tylko swoim baronetom i innej wyższej szlachcie, ale nigdy cudzoziemcom.“

— O, proszę pani, Anglicy do każdego człowieka *comme il faut* mówią: syr, więc każdemu człowiekowi *comme il faut* należy się ten tytuł. Zresztą teraz taka moda w Dreznie.

— Więc ponieważ Polacy mówią do każdego „Mości Dobrodzieju,“ to w razie, gdyby w Dreznie nastała przypadkiem moda polska, na biletach pańskich stałoby „Mości Dobrodzieju Tomasz Skrzeczkowski“.

Pan Jakób Bykowski, który stał tuż obok, ryknął na to homerycznym śmiechem, do którego przyłączył się także stary p. Papinkowski i p. Kuderkiewicz, Ser Dżems zaś wykręcił się na jednym obcasie i dał nurka między innych gości; po chwili zaś, gdy młody Papinkowski próbował swoich sił w capowickiej francuzczyznie, by go sekować panną Emilią, Ser Dżems oświadczył kategorycznie, że forszteherówna jest... no, że jest „głupią kozą". Jestto epitet mało używany w powieściach, a najmniej już o ich bohaterkach, ale Ser Dżems użył go niestety, a pan Ksawery Papinkowski wbił go sobie w pamięć i powtarzał potem przy każdej sposobności, ku wielkiemu zbudowaniu panien Podpogodyńskich, które w sekrecie o tem się dowiedziały i w sekrecie były tego samego zdania, co Ser Dżems i jego kamaszowy samotwór.

Wszystko to dowodzi, że ideał pani Precliczkowej nie był ideałem Milci i że nawzajem Milcia nie była ideałem tego anglezowanego ideału. Nie było też nigdy ani mowy między matką a córką o panu Skrzeczkowskim, i jeżeli wspomniałem o jego zaletach i wadach, o jego stronniczkach i przeciwniczkach, to tylko na to, aby pokazać, że pani Precliczkowa kocha-

ła swoją córkę nadewszystko i pragnęła dla niej szczęścia ziemskiego w najświetniejszej formie, w jakiej objawiało się jej oczom.

Pan Precliczek kochał Milcię także, wszak z wyjątkiem podobno kukułki, wszystkie czworo- i dwunożne stworzenia boskie kochają swoje potomstwo! Dlaczegóż to, co historya naturalna powiada o borsukach, o kangurach, o bocianach i o mandrylach: bez różnicy pierza lub szerści, nie miałoby się stosować także do c. k. forsztehera, chociażby się nazywał Wenzel Precliczek, i chociażby mu córka sprawiła tyle zgryzoty, co Milcia podczas wizyty ówczesnego hrabi Mensdorff-Pouilly, a dzisiejszego księcia Dietrichstein-Nikolsburg? Nawet autor *Pseudonimu* kochać musi swoje dziecię, to jest ową komedyę, która mu zaraz na zajutrz po przedstawieniu sprawiła tyle wyrzutów sumienia, tyle jawnej skruchy i jeszcze jawniejszego „blamażu“. Więc i pan Precliczek kochał swoją córkę bez względu na jej polityczne wyznanie wiary.

Zresztą wiadomo, że u Niemców, o ile ich pierwotna rasowa samorodność nietknięta jest jeszcze pokostem francuskich wyobrażeń obyczajowych, ko-

bieta może być bardzo miłym sprzętem domowym, ale jej zdania, jej gusta, jej całe ludzkie „ja“ nie liczą się za nic. Mąż, *der Herr*, jest wszystkiem w domu, co wynika nawet z zewnętrznych objawów czci, jaką mu oddają. W czysto germańskiem gospodarstwie *der Herr* zasiada zawsze na pierwszem miejscu przy stole, zjada najsmaczniejsze kąski i jest najwyższą ustawodawczą władzą we wszystkich szczegółach i szczegółikach domowego, kobiecego nawet gospodarstwa. Jeżeli kto kogo całuje w rękę w takiem gospodarstwie, to pewnie nie *der Herr* żonę, ale żona jego. Pan Precliczek był właściwie Czechem, ale Czech tego rodzaju jest zwykle jeszcze czystszym Niemcem, niż każdy potomek Hermana w prostej linii. Dlatego też pan Precliczek, z wyjątkiem tak nadzwyczajnych okoliczności, jak wizyta Jego Ekscelencyi, mało zwracał uwagi na to, co myślały i co robiły jego kobiety, a jeżeli *Normalien-Sammlung* i troska o obligacye pożyczkowe, stanowiące majątek gmin wiejskich, zostawiły jeszcze jaki kącik próżny w jego sercu, to kącik ten obawa z powodów *der Säuren im Magen* dzieliła z miłością dla Milci. Pragnął tedy pan Precliczek przedewszystkiem, ażeby mu się kiedy udało schwytać Bo-

saka i dostać za to order Franciszka Józefa, następnie pragnął, ażeby pewna *Umsturzpartei* mogła czemprędzej być zawieszona na szeregu nowiuteńkich szubienic, od Białej aż do Kut, tak jak jego mundury zawieszone były na kołkach u szaragów; następnie, ażeby tysiączki w jego szufladzie rosły tak, jak restancye w jego kancelaryi; następnie, ażeby jaki sławny doktór wynalazł skuteczną prezerwatywę przeciw kwasom w żołądku; a nakoniec, ażeby Milcia w jaknajpomyślniejszy sposób dostała się za mąż. I jako zręczny wykonawca państwowo-policyjnego nadzoru w powiecie capowickim, wyszpiegował już był dla niej męża, chociaż jeszcze nie zwierzał się z tem nikomu.

Mężem tym był pan adjunkt polityczny przy urzędzie powiatowym Capowickim, który, czy to niemieckiemi, czy łacińskiemi czcionkami, podpisywał się pan Johann *von* Sarafanowycz. Owe *von* oznaczało, że rodzina Sarafanowiczów, która aż do r. 1848 była polską szlachtą unickiego obrządku, przyjęła w nowszych czasach narodowość austryacką, a *wycz* zamiast *wicz* pochodziło ztąd, że wuj pana adjunkta, ksiądz Nabuchowycz, był bardzo znakomitym filologiem,

„prowodirem naroda“ i „zastupnykiem“ jego we Lwowie i w Wiedniu, zkąd łaski pana Szmerlinga sypały się na całą rodzinę.

Pan Johann *von* Sarafanowycz nie celował w filologii słowiańskiej, w Buczaczu musieliśmy mu zawsze pomagać w fabrykacyi *der ruthenischen Ausarbeitung*, a nawet teraz, kiedy znajomość cyryliki i grażdanki była mu podwójnie potrzebną, jako jedynemu świeckiemu reprezentantowi narodowości ks. Nabuchowycza w powiecie capowickim, ksiądz wikary obrządku rz.-kat. musiał jemu i księdzu Łuckiewiczowi z Capówki czytać i tłómaczyć trudniejsze miejsca w *Słowie*, i raz, kiedy szacowny ten organ zaliczył przy jakiejś sposobności jego nazwisko do „rewnijszych borytełej i pokrowytełej narodnosty“, pan Johann *von* Sarafanowycz obraził się niezmiernie temi przezwiskami. Dopiero dłuższej argumentacyi ks. wikarego powiodło się przekonać go, że *borytel* nie jest ten, co „burzy“, ale ten, co „boretsia“, t. j. walczy, a *pokrowytel* nie ten, co „krwią oblewa“, ale ten, co „pokrywa“, zasłania. Jednocześnie dodał ksiądz wikary parę uwag, że właściwie nierozsądną i próżniaczą jest rzeczą kować język, którym nikt nie mó-

wi, i udowodnił p. Sarafanowyczowi i ks. Łuckiewiczowi, że ich językiem ojczystym jest polski. Pan Sarafanowycz nie umiał na to odpowiedzieć, ale pomówił o tem z p. forszteherem i w trzy dni później żandarmerya capowicka otrzymała ze Lwowa rozkaz śledzenia wszystkich kroków księdza wikarego, jako bardzo niebezpiecznego agitatora.

Już z tego wszystkiego można poznać, że pan Johann von Sarafanowycz nie należał do rzędu tych, pod względem politycznym niebezpiecznych ludzi, których w świecie urzędniczym nazywano *offene Köpfe* i których omijały zawsze wszystkie awanse. Ale natomiast głowa jego była twardą opoką, na której zbudować można było potężną świątynię lojalności, nie obawiając się załamania czaszki. Pokrewieństwo z księdzem Nabuchowiczem dokonało reszty, i podczas gdy zdolniejsi i starsi koledzy byli jeszcze tylko concepts-praktykantami, p. Sarafanowycz był już adjunktem. Gdyby nie owa niema, ale skuteczna opozycya p. forszteherowej i Milci, o której wspomniałem powyżej, i która paraliżowała najgorliwsze zabiegi władzy, pan adjunkt na współ z p. forszteherem byłby może schwytał Bosaka, Kruka, Ćwieka, albo innego ważnego insurgenta, i byłby już teraz radcą

ministeryalnym i kawalerem św. Anny. Gorliwość jego nie znała granic w roku 1846—aresztował co mu wpadło w ręce, szukał wszędzie powstańców i papierów, nawet tam, gdzie się rzucają najniepotrzebniejsze papiery. Przy jednej rewizyi porucznik głównodowodzący w Capowicach, znudzony zbyt długiem wertowaniem jakiegoś niebezwonnego zakamarku, w którym mogły być patrony albo korespondencye, oświadczył bez ogródki: „*Aber erlaubens, Herr von Sarafanowycz, Sie sind doch ein rechter S... magen.*“ Pan Sarafanowycz skarżył się u wyższych i najwyższych władz wojskowych, ale te pominęły milczeniem tak krzyczącą zniewagę, jakgdyby podzielały zdanie porucznika. A jednak p. Sarafanowycz nie był bynajmniej *ein S... magen*, ale był sobie, jak się sam wyrażał, „fajns“ chłopiec. Miał małe siwe oczy, wystające kości u policzków, nos nieco zadarty, krzaczyste faworyty i nadzwyczaj skąpo rosnące żółtawe wąsy, z pod których sterczały naprzód dwa żółciejsze jeszcze zęby. Wszystko to oprawione było, jak w ramki, w dwa wielkie kołnierzyki, poza któremi bystrzejsze nieco oko mogło odkryć kołnierz od koszuli, znacznie od nich brudniejszy.

Najulubieńszym strojem pana adjunkta był jego

ciemno-zielony mundur o czerwonym, aksamitnym kołnierzu z trzema złotemi gwiazdami, bo strój ten przypominał mu jego urzędowe obowiązki, nakazywał wszystkim poszanowanie, sprawiał, że nikt nie mógł go wziąć za dymisyonowanego strażnika od c. k. akcyzy i, co najgłówniejsza, że nie wychodził z mody. Ten ostatni wzgląd był arcyważnym z powodu, że pan adjunkt był bardzo oszczędnym. Życie jego, chyba że był gdzie proszony na obiad albo na kolacyę, było jednem pasmem ciągłych ascetycznych ćwiczeń.

Co piątek kupował wielki bochenek chleba, odznaczał na nim kredą siedem równych części i jedną z tych spożywał codziennie. Z komisyi przywoził zwykle po kilka woreczków grochu i ziemniaków i pewną część tych wegetabiliów wyjmował co rano ze starannie zamkniętej skrzyni, ażeby je powierzyć pani amtsdienerowej, która gotowała mu je potem na obiad przy swoim ogniu, ze swoją solą i przy pomocy swojej sługi.

Oczywista rzecz, że, siadłszy do stołu, pan Johann von Sarafanowycz przekonywał się najprzód, czy liczba gotowanych ziemniaków odpowiada tej, którą wydawał rano. Jedynym zbytkiem, jaki sobie pozwalał, był kieliszek wódki rano, ale kordyału te-

go dostarczała mu z bezinteresownej grzeczności pani Henia Silber ze swego sklepu korzennego za różne ulżenia, których doznawała ze strony urzędu politycznego co do otwierania sklepu w niedzielę i święta uroczyste. W przeciwnym razie p. adjunkt mógł stać się tak ścisłym przestrzegaczem przepisów konkordatowych, że handel towarami kolonialnemi w Capowicach, odbywający się głównie w święta, stałby się był niemożliwym.

ROZDZIAŁ V,

jako pan Johann von Sarafanowycz postanowił ożenić się, i z kim?

Pan Sarafanowycz, jako człowiek z gruntu oszczędny i przyzwyczajony obchodzić się bez czystej bielizny, uważał stan kawalerski za odpowiedniejszy od małżeńskiego dla finansowych stosunków c. k. adjunkta powiatowego, wolnego od wszelkich kwasów w żołądku i innych cierpień chronicznych.

Jeżeli potrzebował wystąpić w pełnej gali przywiązywał na szyję kołnierzyk, wyprasowany przez panią amtsdienerową; jeżeli się przejadł na jakim proszonym obiedzie, p. amtsdienerowa gotowała mu

rumianek, albo miętę. Żona byłaby w jego gospodarstwie meblem niepotrzebnym, a kosztownym, bo podwoiłaby konsumcyę grochu, ziemniaków, a może i wódki.

Pan adjunkt oszczędzał co roku 1500 złr. ze swojej pensyi, wynoszącej 800 złr. rocznie; ożeniwszy się, mógłby był zaoszczędzić zaledwie 1420 złr. Chociaż tedy młodsi bracia pana Sarafanowycza, w liczbie sześciu (wszyscy parochowie lub wikaryusze obrz. gr. kat.), pożenili się już byli i mieli potomstwo tak liczne, że nawet w razie cholery, dżumy, lub innej jakiej epidemii, pochłaniającej połowę ludności, ród Sarafanowyczów należałby zawsze do najliczniej reprezentowanych w całym kraju — to p. Johann von Sarafanowycz był jeszcze w trzydziestym czwartym roku swego życia kawalerem i nie myślał bynajmniej o zmianie tego stanu.

Ale, jak już wyżej nadmieniłem, jest jakaś nieubłagana fatalność, która nas wszystkich popycha do ożenienia się, i nikt nie powinien zarzekać się tego i głosić stałe przedsięwzięcie niezawierania związków matrymonialnych, bo nim się opatrzy i nim sobie zda

sprawę, zkąd się to wzięło, pewnego pięknego poranku lub wieczora znajdzie się przed ołtarzem i na zapytanie księdza: czy masz, Michale, stałą i nieprzymuszoną wolę tę oto Annę pojąć za żonę i t. d.? odpowie mimowoli: mam!—dziwiąc się przytem niemało, że znalazła się Anna, gotowa jemu, Michałowi, przyrzec nawzajem wierność i posłuszeństwo małżeńskie, aż do zgonu. I zaraz nazajutrz dziwić się może będzie, że wyraz „posłuszeństwo“ ma w małżeństwie tak elastyczne znaczenie, jak wyraz „wolność“ w niektórych państwach konstytucyjnych, i nie będzie mógł pojąć, jakim sposobem konstytucyjni ministrowie wodzą za nos narody, którym przyrzekli wolność, skoro on, Michał, wodzony jest za tę szlachetną część swej twarzy przez tę samą Annę, która jemu przyrzekła posłuszeństwo?

Tak to bywa między ludźmi i najstarszy kawaler nie może wiedzieć, czy nie będzie jutro panem młodym. Nawet Jowisz nie uniknął ślepego fatum, które go związało z Junoną.

Razu jednego tedy p. adjunkt wyjechał był za urlopem do wuja swego, ks. Nabuchowycza, u któ-

go odbywał się prażnik. Uczta podobna u tak znakomitego prowodira, borytela, pokrowytela itd., musiała mieć koniecznie cechę polityczną.

Mówiono bardzo wiele o potędze północnego sąsiada c. k. dziś już Austryacko-węgierskiej monarchii i o podwyhach narodnosty wsierusskoj w Hałyczyni.

Wyraz *podwyhy* wynaleziony był właśnie wówczas, czy odkryty przez któregoś z rewniejszych borytełej i był bardzo w modzie.

Zapomocą nader genialnej operacyi filologicznej mechaniczne znaczenie polskiego wyrazu „dźwigać“ służyło tu w formie „podwyh“ do określenia „usiłowań, dążeń, zdobyczy, postępów“ i t. p. wzniosłych czynności patryotycznych.

Jako widomy rezultat tych podwyhów, ks. Nabuchowycz wskazał w kwiecistej bardzo i dla połowy obecnych niezrozumiałej mowie, to, że przy stole jego, oprócz duchownych reprezentantów rusko słowiańskiej inteligencyi, zasiadało także dwóch świeckich, mianowicie p. kapitan Frajtrowicz i p. adjunkt Sarafanowycz —

dwa żywe i namacalne dowody, że narodnost nasza celuje nietylko w śpiewaniu akafistów i w pożywaniu knyszów, ale także w prowadzeniu walecznych zastępów na pole bitwy i w trudnej sztuce rządzenia krajem.

Pan kapitan Frajtrowicz, wychowany od małego dziecka w zakładzie wojskowym gdzieś w Dolnej Austryi, musiał sobie ten wzniosły *Speech* ks. Nabuchowycza kazać przetłómaczyć na c. k. język urzędowy, a gdy się dowiedział o jego treści, stuknął szklanką z czajem o stół, zaperzył się i zawołał:

— *A lassens mi' aus, da wär' i' schon viel lieber a polnischer Offizier, als a ruthenischer!*

Wśród ogólnej konsternacyi, jaką wywołały te słowa, ks. Nabuchowycz rzucił okiem na swego siostrzeńca i ku wielkiemu swemu zmartwieniu spostrzegł wówczas po raz pierwszy, że p. Johann von Sarafanowycz, mimo swoich trzech złotych gwiazdek na czerwonym aksamitnym kołnierzu, między szerokiemi plecami i szerszym jeszcze brzuchem ks. Kropilnickiego a zawiesistemi wąsami kapitana Frajtrowicza, był wcale niepokaźną, nikczemną figurką, któ-

ra nie dawała należytego wyobrażenia o administracyjnych talentach i o wielkim politycznym podwyhu narodnosty naszej.

Może to szósta szklanka mocnego czaju, a może oparta na doświadczeniu mądrość natchnęła w tej chwili ks. Nabuchowycza genialną myślą, że jest doskonały sposób, aby dodać pewnej majestatycznej powagi, pewnego *aplomb* w świecie każdemu, komu zbywa na tych zewnętrznych przymiotach.

Oto ks. dziekan Prutyk, tak szczupły, że byłby przelazł przez dziurkę od klucza, i tak niepokaźny że poddiaczy obok niego wyglądał jak metropolita, sprawiał mimo to niemałą sensacyę, ilekroć wchodził do pokoju, gdzie było towarzystwo, bo wraz z nim wchodziła przy takich uroczystych sposobnościach księdzowa dziekanowa dobrodziejka, dla której potrzeba było otwierać drzwi na rozcież, i która peryferyą swoją imponowała nawet staroświeckiemu piecowi, zajmującemu połowę bawialnego pokoju ks. Nabuchowycza.

Otóż to: jeżeli reprezentant podwyhu narodnosty w karyerze administracyjnej ma odgrywać rolę

tak świetną, jak przystało rzeczywistemu c. k. adjunktowi powiatowemu, potrzeba go ożenić.

Ksiądz Nabuchowycz poruszył natychmiast ten temat i wyraził myśl swoją w tak gorącej i tak serdecznej przemowie, że zapomniał nawet o filologicznych podwyhach narodnosty przy tej sposobności. Zacząwszy bowiem rzecz oficyalnym, sejmowym swoim językiem, mieszał do niej coraz więcej słów polskich i nakoniec nietylko on, ale i wszyscy obecni zaczęli mówić po polsku, zwłaszcza, że było to już przy dziewiątej szklance czaju, i że nie było w pokoju żadnego Lacha, któryby mógł o tem napisać korespondencyę do „Gazety Narodowej.“ Był tylko jeden Niedolaszek i od tego ja się później dowiedziałem o przebiegu całej sprawy.

Ale precz z kwestyami językowemi, precz z agitacyą i nienawiścią polityczną! Przy dziewiątej szklance czaju, redaktor *Dziennika Lwowskiego* padłby w objęcia kronikarza *Gazety Narodowej*, *Chochlik* całowałby się w twarz z lwowskim korespondentem *Dziennika Poznańskiego*, smakosz krakowski chwaliłby ciastka Rotlendera, a lwowski król kurkowy przyznał-

by, że krakowscy strzelcy trafiają czasem w „czarne“.

Dość, że przy dziewiątej szklance czaju ksiądz Nabuchowycz przedstawiał po polsku swemu siostrzeńcowi, iż własna jego godność, jego stanowisko w świecie, jego obowiązki wobec Boga, narodu, społeczeństwa i rodziny wymagają koniecznie, ażeby się ożenił. Wszyscy dobrodzieje i wszystkie dobrodziejki, hojnie obdarzone niezamężnem potomstwem płci żeńskiej, popierały usilnie te „święte“ słowa ks. Nabuchowycza. I chociaż p. kapitan Frajtrowicz twierdził, iż to wszystko jest „*a' Schmarrn*“, stanęło na tem, iż człowiek dopiero wtedy jest człowiekiem, gdy się ożeni; że nawet adjunkt jest prawdziwym adjunktem dopiero wtedy, gdy pani adjunktowa pomaga mu dźwigać brzemię jego wysokiego dostojeństwa. Dalej wykładał ks. Nabuchowycz swoje zapatrywania co do przymiotów, jakie powinna mieć c. k. adjunktowa. Powinna być, *pro primo*, przystojną, uległą mężowi, gospodarną i wykształconą tak na fortepianie, jakoż w języku niemieckim i francuskim, tudzież w kadrylu, walcu i we wszystkich rodzajach polki. Dobrodziejki znajdowały jednogłośnie, że te wymagania są zupełnie słuszne — i jakżeż nie miały tego znajdować, kiedy

wszystkie ich córeczki były gładkie i kwitnące jak pączki, potulne jak baranki, gospodarne jak Niemki, kiedy grały na fortepianie, uchodziły za znakomite lingwistki, każda w swojej parafii, i tańczyły tak ochoczo, jak młode kotki? W istocie, pominąwszy fortepian i lingwistykę, te dwa utrapienia naszych pokojów bawialnych i naszych salonów, co do reszty powyższych zalet panny na plebaniach unickich mogą współzawodniczyć nieraz bardzo zwycięsko z wszystkiemi innemi pannami.

Mniej poparcia między jejmościami dobrodziejkami znalazł dalszy wywód ks. Nabuchowycza, że c. k. adjunktowa nie powinna c. k. adjunktowi być ciężarem, ale powinna mu być ulgą w dźwiganiu finansowych brzemion stanu matrymonialnego, czyli, mówiąc jaśniej, że powinna mieć posag, odpowiadający godności c. k. urzędnika, należącego do IX klasy dyetowej. Punkt ten należał do nasłabszych we wszystkich pomienionych plebaniach, a blask, należący się IX klasie dyetowej, wydawał się, dzięki wymowie ks. Nabuchowycza, czemś tak nadziemskiem, jak promienie, kalające mitrę i brodę wielkiego cudotwórcy, święte-

go Mikołaja. Było tam coś cwancygierów, czerwieńców i papierków bankowych u każdego prawie dobrodzieja, ale czy ogólna suma i wartość tych numizmatów i dowodów kredytu państwowego mogła reprezentować posag, odpowiadający IX klasie dyetowej, to się nie dało obliczyć odrazu. Dobrodziejki ostygły tedy w swoim zapale; a ponieważ tymczasem liczba tych szklanek czaju, które nastąpiły po dziewiątej doszła była do nader znacznej cyfry; ponieważ natańczono się, naśpiewano, nagadano i naśmiano aż do zmęczenia: więc komu bliżej było do domu, ten kazał zaprzęgać i jechał, reszta zaś gości rozłożyła się na nocleg w plebanii w sposób, znany tylko w domach polskich, czy mazurskich, czy ruskich, w tych domach, co to zdają się róść i rozszerzać w miarę liczby przybywających gości:

„Przybył drugi i dziesiąty,
I nie ciasno jest nikomu.
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzej w całym domu!“

P. adjunktowi ostatnia część mowy szanownego wuja trafiła jaknajmocniej do przekonania, mocniej niż pierwsza. P. adjunkt nie był *ein offener Kopf*, ale zrozumiał odrazu, że pensya IX klasy i posag IX klasy razem wzięte, mimo podwojonej konsumcyi grochu i innych wiktuałów, pozwalałyby oszczędzić co rok więcej, niż pensya sama. Zresztą pani adjunktowa dla niejednego pana adjunkta jest wyśmienitym pretekstem, pod którym różne kury, osełki masła i sera, plastry miodu, ryby na Wigilię, bakalie na Wielkanoc i tym podobne rzeczy, bez żadnego uszczerbku dla miesięcznej pensyi 66 złr. i 66 cen., zasilają śpiżarnię. I dlaczegóżby się p. Johann von Sarafanowycz nie miał ożenić, skoro najbliżsi jego krewni uchwalili, że potrzeba mu tego koniecznie, ażeby był człowiekiem? Cała trudność była w tem, gdzie znaleźć stosowną partyę? Pan adjunkt, powtarzam to jeszcze raz, nie był *ein offener Kopf* i myślenie sprawiało mu wiele kłopotu i zachodu, dlaczego też, gdy był w Capowicach i miał co referować w swojem biurze, rozkazywał zwykle któremu dyurniście, ażeby myślał za niego, poczem podpisywał poprostu gotowy referat. Ale w tej chwili nie miał przy sobie dyurnisty i ten byłby mu się zresztą nie przydał do zrefero-

wania tego specyalnego wypadku, na który nie było nawet formularza w całym urzędzie powiatowym capowickim. Pan adjunkt przewracał się tedy na słomianem posłaniu w izbie ks. Nabuchowycza, gdzie spali „pokotem“ pozostali goście płci męskiej, i gdzie pan kapitan Frajtrowicz wraz z sześcioma proboszczami wykonywał najdoskonalszy septet, na jaki zdobyło się kiedy chrapiące towarzystwo poprażnikowe. Pan adjunkt myślał bez swego dyurnisty, a myśli jego wraz z dwunastoma szklankami czaju wywijały tak szalonego obertasa w jego głowie, że zdawało mu się, iż potrzebuje tylko poczekać trochę, a świat, kręcąc się w koło coraz prędzej, rzuci mu pod nogi posag *der IX Diätenklasse* i przyszłą c. k. adjunktową. Ale świat kręcił się, i pan Johann von Sarafanowycz zasnął i zbudził się nazajutrz, i był w drodze do Capowic, a posag i przyszła c. k. adjunktowa były dla niego jeszcze zawsze kwadraturą koła, problematem nie do rozwiązania.

Dla większej oszczędności p. adjunkt przysiadł się był na furę do Herszka, który wracał właśnie z jarmarku w Kozłowicach i który sam był się przysiadł wraz z kupionem na jarmarku cielęciem do

p. Macieja, przedmieszczanina z Capowic, także wracającego z jarmarku i wiozącego dwa podświnki, panią Maciejową, półsetek płótna, cztery młodsze indywidua, należące do rodzaju nierogatego, i niektóre inne drobiazgi, nabyte wzamian za wieprze, korzystnie na jarmarku sprzedane. Pan Maciej i pani Maciejowa byli przy fantazyi i protestowali dość energicznie przeciw obciążeniu ich ekwipażu przez osobę i bagaże p. adjunkta, ale Herszko załatwił jakoś tę sprawę, tłómacząc im, że pan adjunkt jest wielkim człowiekiem i że to wielki zaszczyt dla takich, za pozwoleniem, świń, jechać z tak znakomitym purecem. Pani Maciejowa wzięła to z początku za urazę osobistą i rozpoczęła bardzo obszerną i gruntowną dysertacyę na ten temat, że bynajmniej nie jest pijaną, i że jeżeli są gdzie, za pozwoleniem, świnie, to niech idą piechotą i t. d. Poczem Herszko założył solenny protest, jakoby powyższe słowa jego stosowały się do innych, jak tylko do owych sześciu czworonożnych towarzyszów podróży, i oświadczył się w bardzo pochlebny sposób co do czerstwego zdrowia i hożego wyglądania tak pani Maciejowej, jakoteż obu podświnków i wszystkich czterech prosiąt, i co do rozumu, objawionego przez panią Maciejową przy każdej sposobności i na

każdem miejscu. Dzięki tej dyplomacyi, pan adjunkt uskutecznił swoją podróż do Capowic niezbyt wygodnie ale bardzo tanio i mógł zabawić się przez całą drogę rozmową z p. Herszkiem.

I jak tu nie wierzyć w cudowne zrządzenie losu? Gdyby nie ta podróż na wózku p. Macieja, gdyby nie rozmowa z Herszkiem, przerywana od czasu do czasu kwiczeniem i beczeniem przeważnej większości pasażerów, nie byłoby może całej niniejszej powieści, a przynajmniej nie byłoby najdramatyczniejszego jej zawikłania. Ksiądz Nabuchowycz powiedział tylko, że pan adjunkt powinien się ożenić, ale nie powiedział z kim — Herszko rozwiązał tę trudność jednem magicznem słowem:

— Nasza panna forszteherówna taka ładna, aj waj, a taka bogata, ććć! Nu, pan adjunkt powinienby się z nią ożenić.

Łuski spadły z oczu p. adjunkta. Nie słyszał już dalszych rozpraw Herszka, wózek p. Macieja kołysał go, a on kołysał w swojej głowie błogą myśl, że raz przecież udało mu się mieć koncept bez pomocy dyurnisty. Był to wprawdzie koncept Herszka, ale

pan Sarafanowycz był już jego właścicielem, i tego dnia wieczór p. Maciej, oprócz p. Maciejowej, Herszka, cielęcia, półsetka płótna i sześciu sztuk nierogacizny, przywiózł do Capowic konkurenta do ręki panny Emilii.

ROZDZIAŁ VI,

w którym, oprócz wiarogodnej relacyi o napadzie Polaków na Capowice, można znaleźć opis dalszych powodzeń p. Sarafanowycza w kandydaturze do stanu małżeńskiego.

Nazajutrz rano, po tym ważnym, choć drobnym wypadku, pani amtsdienerowa, zajmująca się, jak wiadomo, niektóremi szczegółami kawalerskiego gospodarstwa p. adjunkta, spostrzegła ku niezmiernemu swemu dziwieniu, że jej lokator nad wszelki swój zwyczaj, bo w piątek zajęty jest, a nawet całkiem zaabsorbowany, trudną i bolesną operacyą golenia swej brody. W izdebce, którą p. Sarafanowycz odnajmował od p. Schwalbenschweifowej — to było bowiem na-

zwisko owej zacnej niewiasty—oprócz łóżka, skrzyni, szaragów i kuferka, znajdował się duży drewniany stół, a na tym stole leżały, rozrzucone w artystycznym nieładzie, różne akta urzędowe, rekwizyta do pisania, szczotki do czyszczenia butów, kawałek chleba, grzebyk trochę wyszczerbiony i inne tym podobne przybory kancelaryjne i tualetowe. Wśród tego wszystkiego, p. adjunkt urządził obecnie swoją gotowalnię, a to w ten sposób, że wystawił małą barykadę ze Zbioru ustaw i przepisów politycznych *von Drdacki Ritter v. Ostrow*, z dwóch roczników c. k. *Reichsgesetzblattu* i z *Istoryi drewniawo Gałyczsko-russkawo kniażestwa*, którą to ostatnią nabył był za gotowe pieniądze, jako borytel i pokrowytel narodnosty, ale której, jako niewtajemniczony w sztukę deszyfrowania zawilszych komplikacyi grażdanki, nigdy nie czytał. Nie przeszkadzało mu to jednakże powoływać się na to dzieło p. Zubrzyckiego, jako na źródło wszelkiej wiedzy i mądrości ludzkiej—ile razy indywidua, należące do *Umsturzpartei*, podawały w wątpliwość jaką tezę lojalną, n. p. potrzebę zaprowadzenia stanu oblężenia i wart chłopskich w r. 1864, albo potrzebę codziennych rewizyi po domach. Wówczas pan adjunkt z miną na

wszystkie guziki zapiętą oświadczał, że Polacy jeszcze w przedhistorycznych czasach byli narodem nawskroś politycznie podejrzanym i że ma w domu książkę, w której to „stoi wydrukowano“. O wszystkie te skarby literackie oparty był teraz kawałek zwierciadła bez ramek, tak wielki, że p. adjunkt mógł widzieć w nim swoją brodę i część sterczących nad nią dwóch zębów, a więc tyle, ile potrzeba było do wspomnianej powyżej mozolnej operacyi. Trzy, czy cztery cięcia w twarzy świadczyły już o gorliwości, z jaką p. Sarafanowycz poświęcał się temu zajęciu i nie słyszał nawet, gdy weszła pani Schwalbenschweifowa. Nakoniec, gdy już broda jego była, według przepisu, *bis an den Mundwinkel*, tak gładką, jak mogła być w podobnych okolicznościach, obtarł się, i z tryumfującym uśmiechem admirował w zwierciedle upiększenie, jakiego świeżo doznało jego oblicze. Potem podparł się pod boki, wyciął prysiudę, wykręcił się na jednym obcasie i, spostrzegłszy panią amtsdienerową, zawołał:

— A co! nie prawda, co, fajns chłopiec?

— Ta-że. — odpowiedziała pani amtsdienerowa, nadając swojej fizyonomii wyraz tego najuniżeńszego

uwielbienia, jakie żona woźnego winna tak wysokiemu przełożonemu swojego męża. Pani asystentowa winna to p. kasyerowi, pani kanceliścina panu forszteherowi itd.—porządek publiczny i dobro służby wymaga tego. Biada urzędnikowi, którego żona popełniłaby insubordynacyę wobec jego przełożonego!

Zadziwienie pani Schwalbenschweifowej wobec nadetatowej tualety p. adjunkta, który golił się zwykle tylko w niedzielę, wzrosło do większych jeszcze rozmiarów, gdy spostrzegła, że, oprócz świeżuteńkiego kołnierzyka, wdział jeszcze cywilny ciemnozielony surdut i zawiązał w ogromny „fontaż“ największą i najpiękniejszą swoją niebieską krawatkę, nim udał się do biura. P. amtsdienerowa spostrzegła zaraz, że coś się święci i, wyszedłszy w pół godziny potem na miasto, gdzie spotkała panią asystentową, zwierzyła się tejże ze swoją obawą, iż p. adjunkt jest – zakochany. Wiadomość tego rodzaju była dla Capowic materyałem tak nieocenionym, jak dla *Czasu* podróż d. Sartiges z Rzymu do Paryża, lub z Paryża do Rzymu. Nie pisano o niej wprawdzie długich i licznych artykułów wstępnych, ale robiono ustnie nader wyczerpujące komentarze i udzielano sobie nawzajem

uwag i doniesień z szybkością, wobec której używany po za Capowicami sposób przesyłania wiadomości telegrafem jest tylko marną stratą czasu. Tak tedy do południa wiedziano już i roztrząsano to we wszystkich domach capowickich i w niektórych miejscowościach przyległych, że pan adjunkt Sarafanowycz kocha się— stara się— o kasyerównę starszą—nie, o młodszą—nie, o kontrolerównę — otóż nie, bo o siostrę pani pocztmistrzowej i t. d.

Musiałbym poświęcić temu przedmiotowi osobny rozdział, gdybym chciał powtarzać wszystkie te pogłoski i zaprzeczenia; wspomnę więc tylko, że jak Sir James Skrzeczkowski w dworach okolicznych, tak i pan Johann von Sarafanowycz w niektórych domach capowickich odegrał nieraz rolę owych winogron, co to nikt ich nie chce, bo kwaśne...

Tymczasem kwaśnym naprawdę był tego dnia tylko p. Precliczek, i pan adjunkt, wchodząc na schody, prowadzące do biura prezydyalnego, omal nie został roztrącony przez jakiegoś biednego żydka, jakiegoś wójta i dwie baby z suplikami pod pachą, którym

pan becyrksforszteher właśnie w tej chwili pomagał własnonożnie dostać się czemprędzej z pierwszego piętra na dół, z pominięciem zwykłych przezorności ekwilibrystycznych, praktykowanych przy takiej sposobności.

— *Stellen Sie sich vor*! zawołał p. Precliczek do p. adjunkta, gdy ten już był na górze, *stellen Sie sich vor* — i począł mu opowiadać tajemnicę prezydyalną, którą powtarzam tu, spuszczając się na dyskrecyę czytelnika.

W Małostawicach komisya serwitutowa załatwiła była spór gromady z dworem o las i pastwisko ku zupełnemu zadowoleniu stron obuch, i właściciel lasu, pan Bzikowski, wyszedł był obronną ręką z tej drażliwej sprawy. Pan Bzikowski należał do *Umsturzpartei*, i to do tego najniebezpieczniejszego gatunku, który nietylko knuje spiski, ale pozwala sobie jeszcze czasem drwić z organów bezpieczeństwa publicznego w sposób wcale niedwuznaczny. P. Bzikowski nie przyznawał n. p. istnienia kwasów w żołądku pana Precliczka i twierdził, że p. Precliczek nie kwasy, ale Polaków ma w żołądku, co przetłuma-

czone na niemieckie, było zrozumiałem i złośliwem. Pan Bzikowski powsadzał był jednego razu wszystkich swoich parobków na konie folwarczne, dosiadł sam wierzchowca i na czele tego hufcu wpadł w nocy kłusem do Capowic, objechał wszystkie ulice i następnie cwałem zretyrował się do Małostawic, wskutek czego pan forszteher był tak przerażony, że, ściągnąwszy żandarmeryę z koszar, obsadził nią swoje mieszkanie, kazał bić na alarm w dzwon kościoła capowickiego i przez trzy dni całą ludność tego spokojnego miasta trzymał pod bronią, t. j. pod kosami, cepami i widłami, nim nadeszły rekwirowane z obwodowego miasta posiłki wojskowe. Dopiero wtenczas pan Precliczek, na pół już tylko żywy z przerażenia i polecając duszę swoją Bogu, a rodzinę swoj łasce Najj. Pana na wypadek jakiej strasznej dla siebie katastrofy, ruszył w pogoń za mniemanymi insurgentami. W przedniej straży szła żandarmerya, za nią oddział piechoty, a za tą jechał p. Precliczek na bryczce, otoczonej huzarami, która to eskorta nie dodawała mu bynajmniej otuchy, bo, mając bardzo lekkie konie, mogła w razie niebezpieczeństwa uskutecznić swój odwrót daleko prędzej, niż p. forszteher na bryczce. Zajęto

atoli bez wystrzału Małostawice, obsadzono dwór i folwark wojskiem, przetrząśnięto wszystko—i nie znaleziono nic. Zwołano oficyalistów, parobków i t. d., ale wszyscy zgodnie zeznali, że owej pamiętnej nocy ulubione źrebię pana Bzikowskiego gdzieś się było zabłąkało i że mniemany napad „Polaków“ na Capowice był tylko objawem troskliwości właściciela Małostawic o całość swojego inwentarza, a nawet o dobro c. k. monarchii, bo dla tej przeznaczał on owo źrebię, jeżeli się wychowa, ażeby kiedyś może uniosło szczęśliwie z placu bitwy jakiego obrońcę c. k. ojczyzny. Wszystko to dosłownie pan Bzikowski podyktował do protokułu i p. Precliczek wrócił do Capowic bez innego rezultatu, oprócz pliki akt i jakiegoś gastrycznego cierpienia, a zamiast zasłużonego pochwalnego dekretu od namiestnictwa, usłyszał tylko z ust własnej żony, pani Precliczkowej, z domu Hauserle, że jest gł.... Szwabem!

Było tedy rzeczą w najwyższym stopniu niesłuszną, by taki pan Bzikowski nie „beknął“ za wszystkie swoje sprawki; i było rzeczą niebezpieczną, by taki rewolucyonista zostawał w dobrem porozumieniu z gromadą, bo to byłoby całe Małostawice przemieni-

ło na kuźnię propagandy rewolucyjnej. Pan Precliczek zapobiegał temu, oświecając włościan Małostawickich, że przy ugodzie serwitutowej byli pokrzywdzeni, i że Najj. Pan jest bardzo łaskaw dla biednego ludu i t. d. Włościanie zrozumieli to tak, że Najj Pan przeznaczył im na własność las p. Bzikowskiego i jego pastwiska, zaraz tedy nazajutrz poczęli rąbać i paść jak na swojem. Wszczęły się ztąd różne zwady i bójki, których opis ciekawy czytelnik znajdzie w *Gazecie Narodowej* z owego roku. Przy tej sposobności pokazało się, że adwokacka czynność małostawickiego pisarza gminnego, wobec wznowionego sporu o serwituty, jest niedostateczną i pan Precliczek z chrześcijańskiej miłości raczył własnoręcznie napisać włościanom jedną i drugą suplikę do komisyi we Lwowie i do ministeryum. Supliki te wpadły w ręce jakiemuś urzędnikowi, który poznał pismo pana forsztehera, a znużony wiecznemi skargami z Małostawic, napisał o tem siarczystą relacyę i pana Preclicz-kà przedstawił jako źródło wszystkich owych sporów i niepokojów. Byłoby się może na tem skończyło, gdyby nie ten magazyn wszelkiej przewrotności, ten zbiór napaści i intryg wszelkiego rodzaju, jednem

słowem, gdyby nie *Gazeta Narodowa*. Utylitarny ten organ, zamiast zajmować się „głośnem wyznawaniem zasad narodowych, i wytwarzać polskie stronnictwo narodowe“, w dwóch szpaltach drobnego druku obznajmił swoją publiczność ze sprawą małostawiecką, siejąc, jak zwykle, niezgodę, niepokój i obelgi. Zrobił się hałas, i oto właśnie pan forszteher otrzymał był od p. Summera prezydyalne pismo, w którem „z nakazu ministeryalnego“ — a ministrem był już, niestety, Belcredi—polecano mu, *er habe sich standhaft zu äussern*, jakim sposobem śmiał jako c. k. urzędnik pisać stronom supliki? Było to coś jakby zapowiedź śledztwa dyscyplinarnego—rzecz nader niemiła w czasach, gdzie rząd ma zbyt wielu urzędników i rad pozbyć się bodaj jakiejś ich części dla ulżenia budżetowi.

Wszystko to pan Precliczek wyłuszczył panu Sarafanowyczowi wśród wylewu gorzkich uczuć, które musiały napełnić jego serce na widok tak czarnej niewdzięczności ministeryalnej. P. Sarafanowycz nie był *ein offener Kopf* i nie mógł nic poradzić w tym wypadku, ale ks. Nabuchowycz, jego wuj, był bardzo dobrze widziany niegdyś u p. Schmerlinga, a teraz jeszcze u p. Summera. Zależało tedy na tem, aby ks.

Nabuchowycz napisał lub pojechał do Lwowa i aby przedstawił panu Summerowi, jak niesłusznem jest turbować dla takiej bagatelki urzędnika, którego działalność w Capowicach była zawsze tak błogą dla bezpieczeństwa monarchii, dla spokoju i porządku publicznego i dla ochrony tej nieszczęśliwej, uciemiężonej przez Lachów narodowości ruskiej.

— *Den ich bin eigentlich ein Ruthene*—zapewniał pan Precliczek pana Sarafanowycza—*ich schwärme für die ruthenische Sprache und Literatur—das weiss Ihr Oheim am besten.*

Przyszło tedy do wymiany bardzo serdecznych oświadczeń przyjaźni między panem Precliczkiem a p. Sarafanowyczem i przy tej to sposobności p. adjunkt wynurzył się po raz pierwszy swemu szefowi, że wdzięki panny Emilii owładnęły jego serce, że pragnie gorąco zrobić ją panią Johannową von Sarafanowyczową.

O biedna Aldono — biedna Grażyno, lub innego jakiego imienia bohaterko własnych twoich marzeń osnutych na tle tych pieśni złotych i skrzydlatych, jak anioły—co kołyszą twoją duszę i unoszą ją w pię-

kniejsze, lepsze światy! Twój Alf, czy Litawor, czy Wacław, nie jest tym czarnowłosym, wysmukłym półbogiem o promiennem spojrzeniu, o płomienistej duszy i płomienistszem jeszcze sercu, z dłonią wyciągniętą do spełnienia jakiegoś niesłychanie wzniosłego czynu, z piersią, tak dumnie i zuchwale narażającą się na pociski jakiegoś strasznego wroga,—nie jest tym bohaterem, którego wyśniłaś właśnie, zdrzemnąwszy się z poematem Malczewskiego pod główką. Nie jest on tym, ani żadnym innym bohaterem, nie zleciał z obłoków, w błyszczącej, srebrzystej zbroi, z włosem przez wiatr rozwianym, nie nachylił się ku tobie, by usłyszeć cicho we śnie powtórzone słowa pieśni:

„Czy Marya ciebie kocha? mój drogi, mój miły...
„Więcej niż kochać wolno —niźli starczą siły!“

Ach, nie! Jest on c. k. adjunktem, w ciemnozielonym surducie, z żółtawemi bakenbardami i żółtemi zębami, przyjechał wczoraj z prożniku na wózku p. Macieja, wraz z panią Maciejową, Herszkiem i innemi stworzeniami boskiemi i wszedł teraz do bawial-

nego pokoju jako „fajns“ chłopiec, zaproszony przez p. forsztehera na podwieczorek, składający się z kawy i dowolnej ilości bułek. Wstań, Milciu, i ukłoń się p. adjunktowi!

Przy kawie rozmowa toczy się w ten sposób, że p. adjunkt mówi do pana forsztehera po niemiecku, a do pań od czasu do czasu odzywa się z czemś po polsku. Z panem forszteherem mówi o amtshandlungach różnego rodzaju, i innych przedmiotach urzędniczej gawędy, do których zaliczyć należy przedewszystkiem kwestye n. p. takie, gdzie tego a tego przeniesiono, ile lat ten lub ów służy, dlaczego awansuje lub bywa pomijany przy awansach. Z paniami wybór materyi trudniejszy; pan Sarafanowycz wybiera tedy materyę najbliższą i pyta Milci, ile kosztuje łokieć tego, z czego ma suknię i jak się to nazywa. Dowiedziawszy się, że to bareż, po 35 cnt. łokieć, p. Sarafanowycz wyczerpał przedmiot i następuje głębokie milczenie, przerwane nakoniec przez Milcię zapytaniem, czy p. adjunkt pozwoli może drugą szklankę kawy.

Poczem cały fajerwerk głębokiego uczucia wylatuje z siwych oczu pana adjunkta, odbija się od piwnych

oczu Milci i wpada w maszynkę z kawą tak wyraźnie, że chociaż p. adjunkt oświadcza przytem, iż „całuje rączki“, Milcia widzi się zniewoloną nalać mu drugą szklankę kawy i podaje mu ją, odwracając twarz w inną stronę, częścią, ażeby nie widzieć niezbyt starannie umytej i wypranej powierzchowności pana Sarafanowycza, a częścią, ażeby on nie widział złośliwego uśmiechu, którego Milcia powstrzymać nie może, przypomniawszy sobie w tej chwili, że pan adjunkt wypił raz osiem szklanek kawy jedną po drugiej, w Głęboczyskach u państwa Kuderkiewiczów, i że doktór Herz zaaplikować mu musiał wskutek tego osiem różnych mikstur z apteki p. Pigulskiego. Tą razą, po wypiciu drugiej szklanki przez p. adjunkta i zniknięciu wszystkich bułek, które były na stole, towarzystwo powstało i obaj panowie udali się do pokoju pana forsztehera na poufną rozmowę.

W Capowicach zaś jeszcze przed zachodem słońca wiedziało każde dziecko, że pan adjunkt stara się o Milcię, forszteherównę, że był u forszteherów na kawie, że służąca zbiła imbryczek, że bułki przywiózł wczoraj Dudio z Kozłowic, i że Milcia

tak nadskakiwała panu adjunktowi i mizdrzyła się do niego, że panny kasyerówny, panna kontrolerówna i siostra p. pocztmistrzowej oświadczyły zgodnie, iż nie uczyniłyby tego „choćby on był księciem“.

ROZDZIAŁ VII,

z którego wynika niespodzianie, że pan Schreyer jest „wcale do rzeczy".

Rezultat konferencyi pana Precliczka z panem Sarafanowyczem pozostał przez dłuższy czas tajemnicą tak dla Capowic, jak i dla rodziny pana forsztehera. — Ciekawość publiczna w tem „niebardzo podłem" mieście była do głębi poruszoną, a mianowicie pani asystentowa znosiła prawdziwe męki, nie mogąc pogodzić z sobą dwóch tak jawnych faktów, jako to, że pan adjunkt rozmawiał poufnie z panem naczelnikiem i bywał odtąd bardzo częstym gościem w domu tego

ostatniego, a jednak nie słychać było jeszcze nic stanowczego ani o deklaracyi, ani o wyjściu pierwszej zapowiedzi, ani nawet o szyciu wyprawy. Osoba, tak dobrze życząca całemu światu i tak chętnie i gorliwie zajmująca się interesami całego świata, jak pani asystentowa, musiała cierpieć niemało z tego powodu. Widzieć codzień kilka razy pana forsztehera, panią forszteherową, Milcię i pana adjunkta, wiedzieć, że „coś się święci", a nie wiedzieć co—nie wiedzieć nawet, czy suknia ślubna będzie z atłasu, czy z mory lub innej materyi, i czy do gotowania uczty weselnej będzie pożyczony kucharz od pana Capowickiego, czy też od pana Papinkowskiego — jednem słowem, nie mieć żadnej a żadnej informacyi, którąby można podzielić się z przyjaciółkami, przyjaciółmi i znajomymi, przedyskutować, rozważyć, wysnuć z niej pochwałę lub naganę—to więcej, niż może znieść zwykła kobieta w zwykłem miasteczku. Jedni tylko pp. dziennikarze mogą mieć wyobrażenie o tych tantalowskich męczarniach, kiedy z ławki swej w sali sejmowej widzą, jak woźny podaje telegram księciu marszałkowi albo panu namiestnikowi, a nie mogą dowiedzieć się, co zawiera depesza.

Nie chcę być okrutnym i nie chcę, by czytelnicy moi podzielali straszny los pani asystentowej i pp. dziennikarzy, opowiem im tedy odrazu, że na owej poufnej konferencyi w pokoju pana forsztehera, pan adjunkt przyrzekł swemu szefowi postarać się o interwencyę księdza Nabuchowycza w kwestyi suplik serwitutowych małostawickich, a pan Precliczek przyobiecał natomiast p. Sarafanowyczowi uczynić go swoim zięciem. Jako przezorny polityk, zastrzegł sobie atoli pan Precliczek, że nie chce krępować woli swej córki i że wszystko zawisło ostatecznie od jej decyzyi—radził tedy panu adjunktowi, ażeby starał się przypodobać Milci, dodając, że przez czas trzydziestoletniej wiernej służby, cierpiąc nieraz niedostatek i poprzestając na kawałku suchego chleba, zbierał grosz do grosza dla swego kochanego, jedynego dziecka (tu otarł dwie rzewne łzy z oczu) i uzbierał 3.000 złr.—które stanowić będą posag Milci. Twarz pana adjunkta przedłużyła się mocno, gdy usłyszał tę cyfrę, i jął przekładać panu forszteherowi, że wuj jego, ksiądz Nabuchowycz, dał 10.000 swej córce, wydając ją za praktykanta konceptowego, a przecież między praktykantem a adjunktem jest ogromna różnica,

i utrzymanie żony, krynolina, trzewiki, sługa i t. p. kosztują rocznie więcej, niż procent od 10.000 wynosi. Tu pan forszteher westchnął i oświadczył, że, zapożyczywszy się, mógłby jeszcze dołożyć 1.000 złr. do owych 3.000. Na to odpowiedział pan Sarafanowycz, że 4.000 i w oczach jego i ks. Nabuchowycza są tylko kroplą w morzu wydatków, grożących żonatemu adjunktowi, który chce godnie utrzymać honor swoich trzech złotych gwiazdek na czerwonym aksamitnym kołnierzu. Pan forszteher westchnął znowu i dołożył jeszcze 1.000 złr. W tym sposobie ciągnęły się rokowania dalej i w końcu, na tym pierwszym terminie sądowym, bohaterka niniejszej powieści wylicytowana została do sumy 8.000 złr. pod warunkiem, że pan Sarafanowycz musi jej się wprzód podobać.

Ażeby oddać zupełną słuszność panu Precliczkowi, należy powiedzieć, że ani mu przez głowę przeszła myśl radzenia się w istocie swej córki co do wyboru męża. Pan Precliczek znosił u siebie w domu tylko bierną opozycyę kobiet, na którą nie zważał i którejby przełamać nie mógł, gdyby był chciał. A w ważniejszych, *das Raisonniren* ze strony żony lub córki byłoby mu się wydawało karygodnem, jak gdyby n. p.

wójt z Capowej Woli oświadczył, że jego gmina chce korespondować z urzędem po polsku, skoro pan forszteher nakazał, by korespondowała po niemiecku. Mówił on o wolnej woli swej córki, ażeby nie dawać panu Sarafanowyczowi ostatecznego przyrzeczenia — była to z jego strony polityka „wolnej ręki“. Oprócz sprawy suplik małostawickich i kilkunastu jeszcze spraw i sprawek tego rodzaju, zagrażała panu forszteherowi wisząca już naówczas nad całym krajem reorganizacya urzędów powiatowych, pomoc i przyjaźń księdza Nabuchowycza była mu tedy ze wszech miar potrzebną i pożądaną. Ale kto wie, mógł się może obejść bez niej, bo miał kolegów w namiestnictwie i w ministeryum, miał zasługi z roku 1846, 1849 i 1864 za sobą, a wówczas nie potrzebowałby dawać ani córki, ani, co gorsza, 8.000 złr. Chciał więc tylko zyskać na czasie i utrzymać dobre stosunki z tak wpływowym człowiekiem, jak ksiądz Nabuchowycz.

Pan Johann von Sarafanowycz, wróciwszy do domu, wziął ołówek i papier do ręki i począł rachować. Szło mu to jakoś niesporo i „próby“ nie zgadzały się nigdy. Pobiegł tedy na drugą stronę ulicy, do szkółki miejskiej i zawezwał pomocy pana Stecz-

kowskiego, profesora wszystkich ścisłych i humanitarnych nauk, jakoteż kaligrafii przy akademii capowickiej.

Obaj ci znakomici uczeni, z których jeden skończył prawo i odbył trzy egzamina państwowe, a drugi po kilkoletnim kursie „preparandy“, przez najwyższe władze szkolne świeckie i duchowne uznany został gruntownym pedagogiem, obliczyli nakoniec po niejakich mozołach, ale z większą ścisłością niż pan Starkel obliczył paralaks słońca, że 8,000 po pięć od sta daje rocznie 400, a po 6 od sta 480, co w pierwszym wypadku wynosi 33 złr. 33 cnt., a w drugim równo 40 złr. miesięcznie.

Próby, przedsięwzięte zapomocą odwrotnych operacyi arytmetycznych, nie pozwalały wątpić ani na chwilę o dokładności tego rezultatu — prędzejby już można wątpić o tem, czy którykolwiek astronom zapomocą matematyki Mocnika, przeznaczonej dla niższych klas gimnazyalnych i realnych, i zapomocą tej świętej prawdy, iż suma wszystkich kątów w trójkącie równa się dwom kątom prostym — zdołał cho-

ciażby w przybliżeniu obliczyć oddalenie ziemi od słońca.

Pan Pigulski, aptekarz w Capowicach, zaręczał o sobie, iż jest bardzo biegłym matematykiem i opowiadał często panu pocztmistrzowi, jak to astronomowie, siedząc na bardzo wysokich górach, widzą zawsze naprzód zaćmienie słońca i księżyca i piszą to potem w kalendarzach; ale na rozwiązanie takich problematów, jak powyższy, nie porywał się nigdy — on, magister farmacyi, słynny z niezmiernie skutecznej maści na nagniotki, która była jego sekretem.

Uspokoiwszy się z tej strony— t. j. nie ze strony paralaksy słońca, jego zaćmień i maści na nagniotki, ale ze strony procentu rocznego od 8,000 złr., pan Sarafanowycz napisał list do swego wuja i wyłuszczył mu wszystko, cośmy już słyszeli na początku tego rozdziału.

Za parę dni otrzymał list z adresem: *An Seine des Herrn Johann von Sarafanowycz, k. k. Bezirksadjunkten, Wohlgeboren*, in Capowyci, *zu deutsch Zappowitz*—poczynając od słów *Liebster Neffe*! w którym ksiądz Nabuchowycz pochwalał zamiary swego sio-

strzeńca, znajdował sumę 8,000 złr. nieco za szczupłą ze względu na znany stan majątkowy pana forszteherа i obiecywał uczynić *mein Möglichstes* w sprawie suplik małostawickich, „nachdem ohnehin diese Vorgänge nichts Anderes sind, als der Aufschrei der seit Jahrhunderten geknechteten, von den Polen unterjochten, von der k. k. Regierung verlassenen, armen, unterdrückten ruthenischen Nationalität.“

Pan adjunkt rozpłakał się nad temi słowami i wziął je za tekst do kazania, które miał do wójtów na najbliższym *Amtstag*'u.—Poczem w Małostawicach „die geknechtete Nationalität“, pojmując w swój sposób historyczny sens tej mowy, ubiła leśniczego i raniła śmiertelnie gajowego; w Głęboczyskach wpadła do karczmy, wybiła Motia, Motiową i bachory i wypiła wielki zapas wódki nietylko bezpłatnie, ale unosząc jeszcze z sobą gotówkę Motia — w Kataryńcach spasła końmi łan pszenicy dworskiej, a w Capówce... o czarna niewdzięczności nierozumnego tłumu!... zapuściła nierogaciznę w kartofle księdza parocha i pozwoliła sobie nawet poturbować osobę samego dobrodzieja z powodu jakiegoś sporu o należytość za pogrzeb, a to pod pozorem, że „ksiondzy bidnyj, uhne-

czenyj narid tak zderajut, szczo wże hodi wytrymaty."

Z tej strony, list księdza Nabuchowycza miał tedy takie, niezbyt fortunne skutki.

Co do Milci, nastręczył on jej mnóstwo sposobności do nalewania kawy i podawania bułek p. adjunktowi—bo odtąd pan Sarafanowycz był prawie codziennym gościem u państwa forszteherów. Między jedną szklanką kawy a drugą wzdychał zawsze bardzo głęboko i topił wzrok pełen niewysłowionej tęsknoty w oblicze Milci, która zwykle przy takich sposobnościach patrzyła w sufit, albo na piec, albo na co innego, nieubranego w ciemno-zielony surdut i w kołnierzyk ze zbyt widocznemi tasiemkami.

Wówczas pan Sarafanowycz, który od pewnego czasu pożyczył był od pani amtsdienerowej tom *Rozmaitości* z roku 1838 i czytał w nim bardzo pilnie, aby się dowiedzieć, jakto ludzie romansują—pan Sarafanowycz tedy, niezupełnie pozbawiony zapasu frazeologii, niezbędnego w jego położeniu, wzdychał jeszcze mocniej i mawiał:

— Ach, pani jesteś okrutną!

I miał słuszność. Kobiety umieją być okrutnemi czasem nawet dla tych mężczyzn, których nie kochają. Dla kochanków są niemi prawie zawsze, tak przynajmniej twierdzą niektórzy zdesperowani powieściopisarze.

Milcia była okrutną, bo po takiem wywnętrzeniu się ze strony pana adjunkta zrywała się zwykle i uciekała na ganek, albo do swego pokoju, aby się tam naśmiać aż do łez, bodaj czy nie z pana adjunkta. Psotnica, zaraz przy pierwszej wizycie pana Sarafanowycza spostrzegła, jakie zamiary kryły się pod jego ciemno-zielonym surdutem. Był to pierwszy konkurent, który jej się trafiał.

Panny mają niezwalczoną skłonność do wyszukiwania ujemnych i śmiesznych stron w osobie każdego mężczyzny, który im się prezentuje w charakterze konkurenta — choćby był pięknym, jak Apollo, albo jak elegant z żurnalu (Apollo w XIX stuleciu nie wszędzie może uchodzić za piękność, ze względu na zbyt rażące podobieństwo do świętego tureckiego), choćby był mądrym i dobrze ułożonym, i dobrze widzianym w świecie.

Pan Johann von Sarafanowycz nie uszedł temu wspólnemu losowi całej jednej wielkiej części rodzaju męskiego — Milcia była dla niego okrutną, choć z grzeczności nie śmiała mu się w oczy.

Ale raz trudno było wytrzymać. Przy kawie— cały romans pana Sarafanowycza toczył się przy kawie—Milcia spostrzegła dwie muchy, które przechadzały się po obrusie, dzióbały okruszyny cukru i bułek i nakoniec, spotkawszy się, ocierały się pyszczkami jedna o drugą, jak para kochanków, albo starych przyjaciół po długiem niewidzeniu.

Nie wiem, czy kto z czytelników uważał już, że muchy mają ten zwyczaj; nie wiem, czy i jak go tłómaczy historya naturalna i nie wiem, czy Milcia widziała co szczególnego w tej serdeczności owych dwóch skrzydlatych istot, czy z braku innego zajęcia przypatrywała się im tak pilnie—dość, że pan Sarafanowycz, który już był spożył z wielkim smakiem swoją szklankę słodkiej kawy i słodkim wzrokiem błagać się zdawał o drugą, uważał przez czas niejaki, że Milcia ma oczy zwrócone w jeden punkt, jakgdyby była zamyślona. Wtem wypadła jej z ręki łyżeczka

od kawy, którą nad szklanką trzymała i brzęk ten przerwał jej myśli, czy bezmyślność.

— Aaaa, przecie! — zawołał pan Sarafanowycz z wyrazem największego zadowolenia i tryumfu, z wyrazem, w którym malował się cały związek jego myśli i wniosków: Milcia upuściła łyżeczkę, więc musiała być zakochaną, a w kimżeby, jeżeli nie w takim fajns chłopcu, jak pan Sarafanowycz?

Milcia i pani forszteherowa odgadły odrazu całe znaczenie tego wykrzyknika, spojrzały jedna na drugą i wybuchły konwulsyjnym śmiechem.

Pan forszteher zdziwił się mocno i zapytał:

— *Was habt's ihr wieder zu lachen?*

Pan Sarafanowycz wytrzeszczył oczy i otworzył usta na znak głębokiego zdziwienia, ale dotychczas jeszcze nie zrozumiał i nie zrozumie zapewne nigdy, z czego się te panie wówczas tak śmiały.

Pan forszteher, który mało uwagi zwracał na kobiety i z lingwistycznych względów nie lubił wdawać się z niemi w długie rozmowy, począł mówić o jakimś innym przedmiocie — o klęskach, doznanych

niedawno przez c. k. armię z powodu owej mgły koło Chlumu—panie uspokoiły się i rzecz cała została bez dalszych następstw.

Ale wieczorem, gdy matka znalazła się sam na sam z córką, nie obeszło się bez uwag nad tym wypadkiem i wogóle nad częstemi wizytami pana Sarafanowycza w ich domu. Zamiary jego były aż nadto widoczne, niemniej i to, że „ojciec“ był przychylnie dla niego usposobionym.

Pani Precliczkowa ucałowała Milcię w czoło i powiedziała, że chybaby jej, Precliczkowej, z domu Hanserle, nie było na świecie, ażeby taka małpa miała wziąć jej dziecię.

Mogła była dodać, że z pomiędzy dwóch, Sir James Skrzeczkowski jest przynajmniej porządniejszą i lepiej umytą małpą — ale lord katarynecki w oczach p. Precliczkowej wcale nie zasługiwał na taki przydomek.

Milcia tą razą była na seryo zamyśloną. Muchy spały już po ścianach, nie mogły tedy zajmować jej uwagi. Musiała więc rozmowa z matką o panu Sara-

fanowyczu spowodować jej zamyślenie. Może to był dalszy ciąg tych rojeń sennych, przy których zastaliśmy ją, gdyśmy po raz pierwszy wprowadzili pana adjunkta do bawialnego pokoju państwa forszteherów?

Pora była po temu — stróż nocny wywoływał właśnie dziesiątą godzinę, Capowice spały spokojnie i nie słychać było żadnego głosu, oprócz dalekiego szczekania psów i regularnego chodu wahadła u zegara ściennego. Wiatr szeleścił w lipach pod oknami i poruszał dziwacznie ich cienie, padające do pokoju wraz z jasnem światłem księżycowem.

W gmachu becyrkowym można marzyć tak dobrze, jak w każdym innym, albo jak pod gołem niebem, jeżeli się jest usposobionym lub usposobioną do marzenia. Córka becyrksforsztehera, nawet becyrksforsztehera Precliczka, może marzyć tak dobrze i pięknie, jak księżniczki, szlachcianki, mieszczanki i proste wieśniaczki marzą — czasem w życiu, a w romansach zawsze.

Niema tedy żadnego powodu, dla któregoby Milcia nie miała była myśleć i marzyć. Marzy się nie-

raz, gdy już włos zbieleje i twarz się pomarszczy, tem lepiej i piękniej marzy się w dwudziestym roku życia. To, co się marzy, panowie poeci nazywają ideałami, a panowie filozofowie twierdzą, że tego niema wcale na świecie i że to nigdy a nigdy nie da się pięcią zdrowemi zmysłami schwycić. Panowie filozofowie mylą się, wiem to z doświadczenia. Jestem człowiekiem niepoetycznym i pozbawionym twórczości, ale miałem także moje ideały, i—urzeczywistniły się prawie wszystkie. Notabene, czerpałem je z książek, nie mogąc ich sam utworzyć. Za młodu, ideałem moim był świat dziewiczy Ameryki, podróż morska, lasy o niebotycznych drzewach, góry i skały nieprzebyte. Poszedłem do Kisielki, woziłem się czółnem, spocząłem w cieniu lipowej alei, wdrapałem się na górę Wysokiego Zamku — i wróciłem do miasta całkiem zadowolony. Fenimore Cooper, Washington, Irving, Sealsfield i Marryat był dla mnie urzeczywistniony.

Teraz, na starość, wolę Dickensa i Dumasa tam, gdzie nie jest bardzo okropny. Czytam np., z jakim smakiem Master Pickwik zajadał i zapijał różne dobre rzeczy, idę do Mańkowskiego i pokrzepiam się

szklanką porteru, a pp. filozofów wzywam na dysputę: czy to nie jest urzeczywistnieniem ideału? Wszystko zależy od sposobu, w jaki zapatrujemy się na świat, na ludzi i na rzeczy.

Jeżeli tedy Milcia miała jaki ideał, to twierdzę, że był on do urzeczywistnienia, a bliska przyszłość okaże, iż się nie mylę. Na teraz, jako wierny historyk, zapisuję tylko, że musiała marzyć dość długo, bo zegar ścienny wybił był już dwunastą, kiedy, obracając się na łóżeczku, zapytała:

— Czy mama śpi?

— Nie, moje serce.

— Proszę mamy...

— Co, moje serce?

— Prawda, że ten pan Schreyer jest wcale do rzeczy?

— A, a... ot, tak—odpowiedziała mama. I kolej myślenia byłaby przyszła na nią, gdyby była w tej chwili nie usnęła napowrót.

Z obawy, by kochanej czytelniczce nie wydarzyło się to samo, zostawiam do przyszłego rozdziału

wyjaśnienie powodów, dla których pan Schreyer był wcale do rzeczy, co ten pan Schryer robił w Capowicach i jakim sposobem zjawia się jego nazwisko w siódmym rozdziale tej powieści?

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

W ostatnim kwartale roku 1899, t. j. od 1 października do 31 grudnia wyszły i rozesłane zostały prenumeratorom „Gazety Polskiej“ następujące dzieła, jako bezpłatne dodatki tygodniowe:

St. Kozłowskiego „**Taboryci**“, dramat w pięciu aktach . . . . . tom 1
T. T. Jeża „**W Zaraniu**“, powieść . . . . tomów 3
E. Goncourt'a „**Bracia Zemgano**“ . . . . tom 1
T. Padalicy „**Powieści Ukraińskie**“ . . . „ 1
Edm. Rostand'a „**Cyrano de Bergerac**“, komedya bohaterska w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Zagórskiego . . . . . tomów 2
Ireny Mrozowickiej „**W płytkim prądzie**“ . . tom 1
Jonasa Lie „**O Zachodzie**“, powieść norweska „ 1
Klementyny z Tańskich Hofmanowej „**Krystyna**“ . . . . . tomów 2
H. Andersen'a „**Bajki i Opowiadania**“. . . tom 1

Nowi Prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ przybywający od Nowego Roku 1899 otrzymywać mogą komplet tych 13 tomów za rb. 3 z przesyłką pocztową i za rb. 2,40 w Warszawie.

IOTE
3283
Biblioteka WSP Kielce
0194166